

KRZYSZTOF BONK

MELORUM

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Nelorum

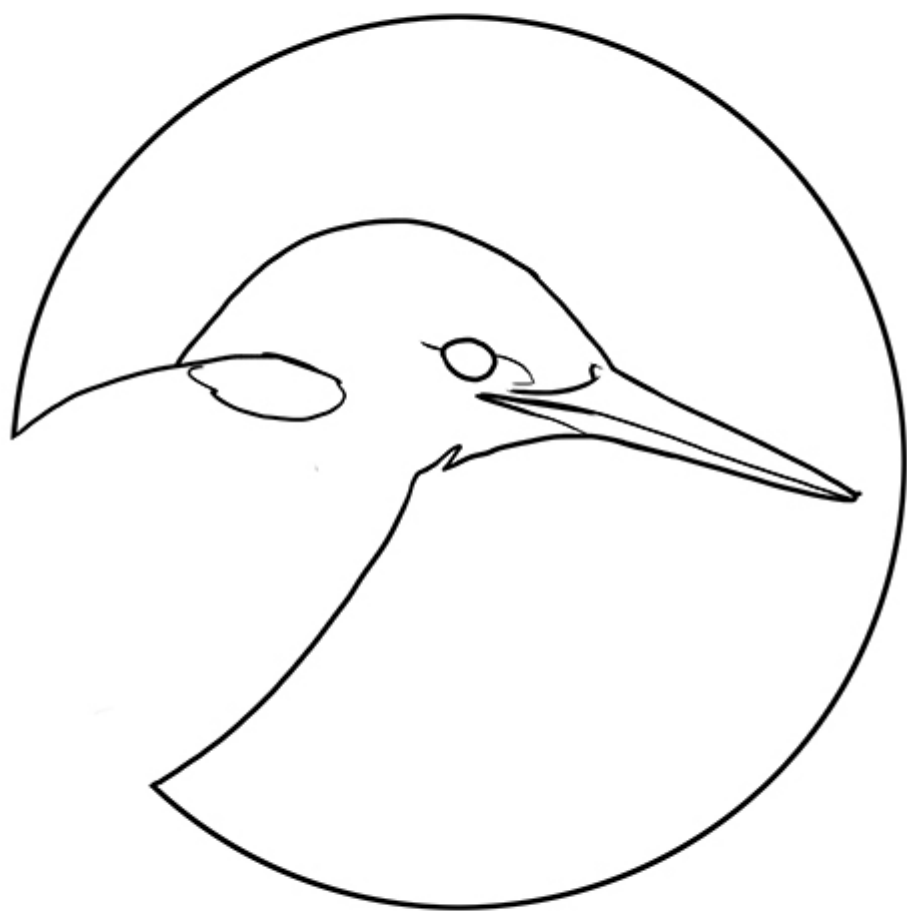
Cykl Pendorum XI

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-993-7
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. TWIERDZA MANAKISZ

Nail oraz Nelorum – wiem, że mnie słyszycie, musicie. Wszak modłę się do was żarliwie dzień po dniu i nie ustaję w swych modlitwach nawet w nocy w mych snach. Jesteście ostatnią ostoją, nadzieją, ale tak naprawdę czymś o wiele więcej. Albowiem moja niezłomna wiara w was sprawia, że jestem przekonana, iż staniecie się sprawczym pierwiastkiem. Nie dopuścicie do ostatecznej zagłady ludu czarnego piasku. Natomiast w to miejsce przyniesiecie mu wyzwolenie, a obcym najeźdźcom zasłużoną, okrutną śmierć.

*

Kolejne kolumny wrogów pokonują jedną za drugą, częściowo zasypaną fosę i przedzierają się przez istne pola śmierci pełne jadowitych pajaków, węży oraz skorpionów. Wymijają ludzkie, bielejące w słońcu szkielety, a także świeższe, gnijące w gorącu truchła poległych żołnierzy z niezliczonych szturmów na niezdobytą twierdzę Manakisz – ostatniego bastion ludu czarnego piasku, któremu niezłomnie przewodzę.

Teraz, stojąc na murach, daję sygnał gwałtownym wymachem sierpem. W odpowiedzi z baszt twierdzy posłana zostaje gęsta salwa strzał oraz oszczepów. Potem w ruch idą kamienie, kiedy resztki wrogich żołnierzy docierają wraz z drabinami do czarnych murów warowni.

W tym momencie i ja nie szczędzę swych ramion, które ostatnimi czasy, jak do niczego nawykły do ciskania z góry oszczepów. Czynię to bez emocji, jedynie z zaciętym wyrazem twarzy miotam zaostrozonymi drzewcami wprost w tarcze wspinających się po szczeblach drabin piechurów. Każdy kolejny mój rzut jest gwałtowniejszy od poprzedniego, aż któryś z nich w końcu sprawia, że atakujący nie jest w stanie utrzymać w ręku osłony. Wówczas następny oszczep wieńczy dzieło, masakrując twarz czy tors napastnika.

W tym czasie na innych najeźdźców leje się wrzący olej i podpalana smoła. Zapach płonących substancji miesza się ze swądem palonych, ludzkich ciał. Bitewne okrzyki mające dodać animuszu walczącym przykrywane są opętańczymi wrzaskami wydzieranymi z gardeł brutalnie okaleczanych i konających ludzi. Jednakże wszyscy tu dobrze już znamy tę wojenną pieśń, do której co pewien czas dorzucamy kolejne zwrotki, zaś refrenem zawsze jest śmierć!

Polegli ludzie podczas szturmów są jak zwykle przede wszystkim po stronie wojsk dominium. Lecz głównie dawnych, białych przybyszów, żołnierzy zwerbowanych z podbitych władztw. Dlatego w pewnym sensie przeklinam tę niemal bratobójczą walkę. Ponieważ nie tak to powinno wyglądać. Inną powinnam przelewać krew, a mianowicie prawdziwych wrogów!

Ale obecnie nie pozostawia mi się żadnego wyboru. Znowu i znowu uśmiercam potencjalnych sojuszników dokładnie tak, jak przepowiada mi to doradca Murana. I tak, jak prorokował mędrzec Mitrea, nurzam się cała we krwi, zabijam, ja, Anrea, mityczna Bogini z krwawego kontynentu Pendorum! Obecnie czynię to ku czci Nelorum, ziemi, której na wszystkich Bogów, demonów i ludzi przyniosę jeszcze prawdziwą wolność oraz pokój!

Nastaje zmierzch i szturm wroga ostatecznie się załamuje. Jego niedobitkowie są w odwrocie, a my nie posyłamy już w nich śmiercionośnych oszczepów czy strzał. W narastającym mroku ciszę co raz przerywają jedynie szaleńcze wrzaski, a są one pochodną ukąszeń jadowitych zwierząt, które na bitewnym polu żerują w najlepsze, pożywiają się i rozmnażają, jak nigdzie indziej. Podobnie pogłowie krokodyli oraz piranii w fosach jest tak liczne, jak nigdy, gdzie parująca od gorącego powietrza woda nieustannie uzupełniana jest czerwoną krwią.

Na widok pola bitwy przed twierdzą, rozświetlanego krwawym zachodem słońca, dochodzę do wniosku, że jeżeli rzeczywiście istnieje już wspomiane przez Otta piekło, to zapewne tak właśnie ono wygląda. Natomiast w nim samym jest ponoć mój ukochany małżonek, Muran.

Na jego wspomnienie w końcu schodzę z murów fortecy i kieruję się do wewnętrznych zabudowań. Myję się dokładnie w jednym z podziemnych źródeł, których nie sposób zatruć, a które zaopatrują nas w wodę pitną.

Potem udaję się na spoczynek do komnaty, gdzie od miesiący leży nieprzytomny Muran.

Jak zwykle położę się razem z nim do snu. I będziemy niczym żona oraz mąż, tylko dla siebie i ze swymi marzeniami o wolności i wygranej. Tylko my i aż do świtu nie przeszkodzi nam w byciu razem nikt. Zaś ten błogi czas przerwie brutalnie zapewne kolejny krwawy świt, a wraz z nim ofiary, śmierć, a po drodze pot, krew i łzy. Ale tak już musi być, tak musi być. Aż do czasu zlitowania się nad nami Nail oraz Nelorum. Ale wytrwam w wierze. W końcu poprzysięgam to wszystkim, a przede wszystkim samej sobie i ukochanemu.

*

– Pani... – Generał Sakkan wita mnie w drzwiach mej sypialnej komnaty w chwili, gdy ją opuszczam. W odpowiedzi jedynie spoglądam na niego lodowato, spodziewając się usłyszeć, że wróg szykuje kolejny straceńczy szturm. On jednak przekazuje mi inne wieści: – Ta kobieta, służka... Ponownie przysłała pod bramy i czeka...

Na te słowa odrywam wzrok od mego zaufanego oficera i idę sprężystym krokiem na mury twierdzy. Rozświetlają je jasne promienie słońca wschodzącego po drugiej stronie warownej budowli. Ja zaś spoglądam w zacienioną, zachodnią stronę, skąd zawsze przychodzą ataki, bowiem pozostałe trzy ściany fortecy Manakisz otoczone są wysokimi, morskimi klifami.

Na środku obserwowanej przeze mnie przestrzeni pokrytej niewyobrażalnym obrazem śmierci i zniszczenia, pomiędzy zniszczonym orężem, kośćmi i trupami w różnych formach rozkładu, klęczy pokornie ona, Lakszi. Ma niegdyś najwierniejsza służka i bliska przyjaciółka. Ale obecnie to podła zdrajczyni, którą wygnałam sprzed mego oblicza i pod groźbą śmierci zakazuję jej do mnie powracać. Lecz ona najwyraźniej, jak zwykle za nic ma moje słowa, bowiem co kilka dni pojawia się na mym widoku, błagając swą obecnością o przebaczenie.

Jednakże w obliczu tragedii, jaką Lakszi ściąga na Murana, a w konsekwencji także na mnie i cały lud czarnego piasku moje serce pozostaje zimne i twarde. Dlatego chwytam jeden z oszczepów,

przymierzam i rzucam. Wbija się on tuż przed klęczącą kobietą, która w odpowiedzi przewraca się na plecy z przestachem.

Za każdym razem, kiedy służka przybywa prosić o zlitowanie, grot trafia coraz bliżej zdrajczynie. I jeszcze jej dwie, może trzy próby zbliżenia się do mnie, a ją ugodzę, zaprawdę powiadam, że zabiję za zdradę! Niech wie o tym, weźmie do siebie moją przestrożę i w końcu stąd odejdzie, na zawsze!

Wtem błyskawicznie chwytam drugi oszczep i bez namysłu ciskam nim w kierunku Lakszi. Grot wbija się z impetem w głowę. Płaski oślizgły łeb monstrualnego węża, który sunął wprost na kobietę.

Ona to widzi, że ratuję jej życie, zatem składa dziękczynnie ręce na sercu. Ale zaraz wstaje i biegnie przerażona w powrotną drogę. To słuszny kierunek i niech go nie zmienia, bo jeżeli następnym razem sama jej nie pozbawię życia, to wyręczy mnie w tym zapewne zjadliwa natura, która wokół twierdzy nieustannie dziesiątkuje mych wrogów.

A oni sami, wrogowie? Tym razem nie wiedzę, aby szykowali się do szturm, więc zapewne liżą swoje bolesne rany. Lecz nie mam złudzeń, niebawem ponownie zaatakują. Ale ponownie zostaną odparci! Uczynię to miejsce grobem choćby i wszystkich żołnierzy z dominium! Jeśli zaś zajdzie taka potrzeba i swoim własnym.

*

Wykonuję dwa szybkie cięcia sierpem i tym samym rozcinam gardła pary klęczących, ciemnoskórych żołnierzy z załogi mej twierdzy. To ludzie, którzy podzegli do poddania się, a których właśnie skazuję na śmierć i wykonuję na nich wyrok. Przysięgali, tak, zanim zamknięte zostały bramy twierdzy Manakisz złożyli przyrzeczenie, iż oddadzą swe życie za obronę tych murów. Zatem niniejszym to czynią, bo nie mogę sobie pozwolić, aby dalej osłabiali morale pozostałej załogi.

I nie jest to jedyna egzekucja, jaką własnoręcznie przeprowadzam w ostatnim czasie. Przez to staję się coraz bardziej nieczuła i harda, także dla samej siebie. Ale budzę też większy respekt i nikt nie kwestionuje mych rozkazów. Również tych o ponownym zmniejszeniu racji żywnościowych.

Od dłuższego czasu spożywamy niemal wyłącznie wodorosty oraz ryby chwywane z morza zarzucanymi do niego sieciami aż z wysokich murów. Choć sama nie odmawiam sobie lepszego pożywienia, a mam ku temu

znaczące powody. I w końcu nastaje sposobny ku temu czas, aby zaprezentować je światu – owoc mych wysłuchanych modlitw do Nail oraz Nelorum.

Skoro świt wysłałam posła do wrogiego obozu z prośbą o podjęcie negocjacji pokojowych. Przy czym zaznaczam, że jestem skłonna rozmawiać osobiście na wrogim terenie. Zgodnie z oczekiwaniem udzielona zostaje zgoda na wspólne rokowania i tak po przeszło ponad roku opuszczam wreszcie mury posępnej twierdzy Manakisz.

W drodze do pobliskiego obozu dominium towarzyszy mi jedynie generał Sakkan oraz para zaufanych żołnierzy, którzy idą uzbrojeni przodem, oczyszczając teren z jadowitego plugastwa. Fosy pokonujemy po zbudowanych przez najeźdźców prowizorycznych mostach z kamieni, desek i piachu. W ten sposób wychodzimy na otwartą przestrzeń, gdzie nie ma w końcu odoru śmierci i zniszczenia, za to jawi się przed nami długi szereg wyższych i niższych rangą oficerów armii dominium w granatowych mundurach. Ku nam wychodzi dwójka z nich. Osobiście nie przyglądam im się, tylko ściskając zawiniątko w dłoniach, bez ogródek donośnie przemawiam:

– Trwa między nami okrutna wojna. Ale w tej wojnie większość żołnierzy stoi po złej stronie! To dawni, obcy przybysze, którzy zostali przez nas ugoszczeni na tej ziemi. Wy nie macie prawa z nami walczyć, a winniście nas wspierać! Przeto pozostanie wierni wierzeniom swych przodków i oddaniu całej ludności kontynentu świętemu Nelorum, zaklinam was!

– Nie rzucaj, pani, zaklęć – odpowiada jeden z pary wyższych oficerów przede mną i wskazując na ludzi, do których się zwracam, spokojnie tłumaczy: – Ja sam pochodzę z dawnej krainy Romulum. Zaś w szeregach armii dominium wysłanej przeciw Królestwu Czarnego Piasku ponad trzy czwarte żołnierzy i niższych oficerów pochodzi z dawnych władztw. Jednak zauważ, pani, iż pod twoją wodzą dopiero co przegrywamy wyzwolenie zryw w bitwie krwawych wzgórz. I obecnemu zwycięzcy z Akros wolimy płacić trybut w postaci naszej wiernej służby wojskowej, a nawet życia w miejsce zniewolenia oraz cierpienia naszych kobiet i dzieci. Dlatego zrozum, pani, naszą sytuację, jak i swoją. Stajesz przed obliczem niepokonanego wroga i sama przegrasz. Pytanie jedynie ilu jeszcze

niewinnych ludzi pragniesz zabrać ze sobą do grobu...? – kończy smutno swą pełną szacunku mowę. Dla odmiany oficer koło niego wypowiada się z pogardą aż ociekającą jadem:

– Mój podwładny przy moim lewym ramieniu dobrze to ujął, ciemna diablico... Wszak wszyscy na tym kontynencie jesteście już przegrani. I to na dobrą sprawę odkąd tylko wielkie dominium Akros stawia tu swoją stopę. Zaś ci, którzy wciąż mają jeszcze jakieś złudzenia i ciągle walczą, jedynie bardziej się pogrążają! Siebie oraz innych, rzecz jasna. Myślisz bowiem, ciemna diablico, że za twoją krnąbrność nie wszczęliśmy wobec ludu czarnego piasku dodatkowych represji? Ha! Dobrze sobie... Każdy nasz nieudany szturm to kolejna wasza spalona wioska, zgwałcone kobiety i wymordowani mężczyźni, a dzieci zakute w kajdany...

W odpowiedzi na te plugawe słowa spluwam rozmówcy siarczyście w twarz. Ten ociera sobie białą chusteczką mą ślinę z policzków z płowymi bokobrodami, po czym z niesmakiem czyni krok do tyłu. Ja dla odmiany robię zdecydowany krok naprzód ku drugiemu oficerowi. Odwijam zawiniątko, które przynoszę na rękach i z nieskrywanym zachwytem mówię:

– Patrz...

– To... dziecko... – odpowiada zbity z tropu mężczyzna, nie rozumiejąc, do czego zmierzam. Ja natomiast ozdabiam swą twarz szerokim uśmiechem i tłumaczę:

– To nie tyle dziecko, co przede wszystkim nasze zwycięstwo, nasze wspólne zwycięstwo nad dominium...

– Ale... niby jak...? – Oficer spogląda na mnie coraz bardziej zafrapowany, zupełnie jakby miał do czynienia z osobą, która postradała zmysły. Osobiście odgarniam ze skroni dzieciątka krótkie, czarne włosy i ukazuję tym samym na jego skórze jasne znamię w kształcie księżyca.

– To jest... To miałyby być...? – zająkuje się na ten niespodziewany widok oficer z Romulum. Ja sama z jaśniejącym uśmiechem na ustach dokładnie wyjaśniam:

– To owoc mego pożycia z moim mężem, Muranem, który choć duchem jest daleko stąd, to swym zdrowym ciałem ciągle jest przy mnie. I tu, w tej

twierdzy, daje mi on syna. Natomiast tym synem okazuje się przyzywany przeze mnie w modlitwach cud w postaci...

– Odrodzonego Nelorum... – kończy za mnie oficer z Romulum, wyciągając z bojaźnią rękę, by dotknąć dziecko w znamię. Pozwalam na to, choć mężczyzna cofa swą dłoń, a jednocześnie wolną ręką czynię umówiony wcześniej gest do generała Sakkana. Ten wyjmuje flet i gra na nim nostalgiczną melodię. Zna ją wszyscy mieszkańcy kontynentu Nelorum, a jest ona elementem pieśni o odrodzeniu się pradawnego Boga i ukaraniu obcych najeźdźców.

Jest to też znak dla naszych ukrytych oddziałów po dwóch stronach dżungli. W ich skład wchodzi słońce bojowe, które podrosły do tego czasu w ukrytych obozach i są obecnie gotowe do walki. I właśnie objawiają się nam w ilości ponad dwustu sztuk.

W odpowiedzi oficer z Romulum patrzy na mnie z coraz większym zdumieniem, jak i podziwem. Z kolei mężczyzna rodem z dominium gniewnie przemawia:

– Co to za farsa z tym dzieciakiem, co to ma znaczyć?! I przede wszystkim wydajcie natychmiast bitewne rozkazy. Toż to przeklęte słońce! Musimy walczyć! Ta przybyła do nas suka, ciemna diablica, perfidnie nas zdradza!

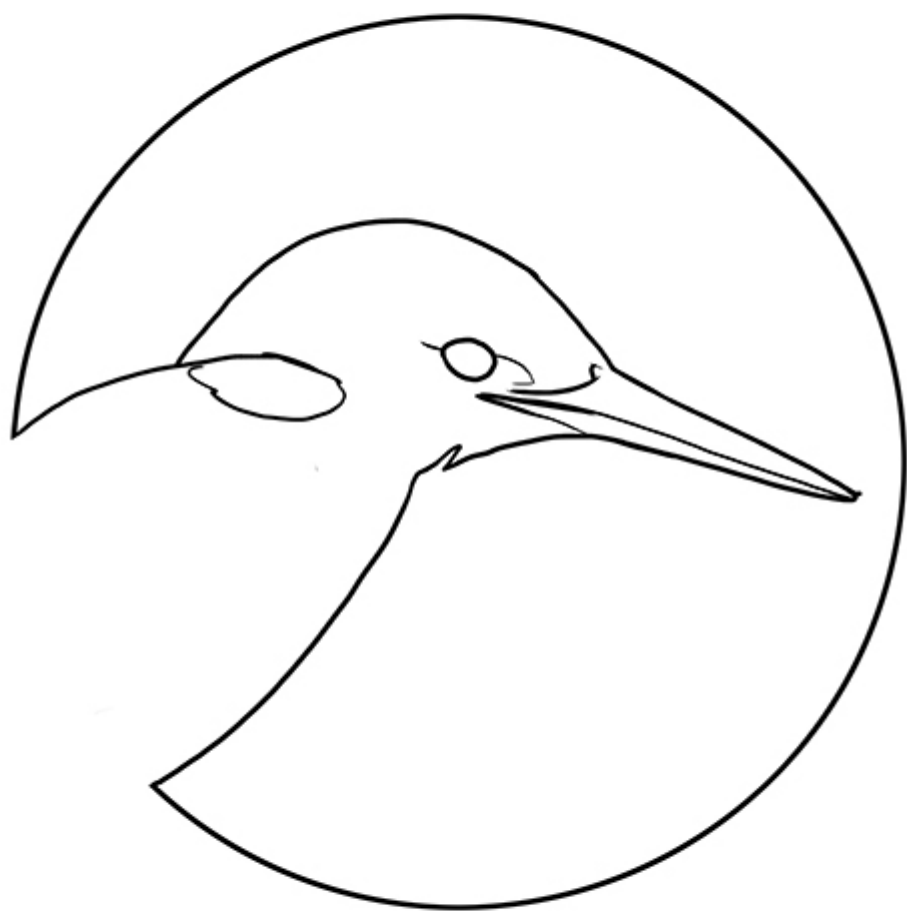
– Otóż nie, nie zdradzam – odpowiadam dumnie. – Jak zapowiedziałam, przybywam negocjować pokój, ale jedynie z tymi, którzy są tego godni. – Po tych słowach oddaję Sakkanowi me dziecko, po czym błyskawicznie wyjmuję zza pasa sierp i zamaszystym ruchem rozcinam oficerowi z dominium gardło. Ten pada na kolana i rozpaczliwie próbuje tamować dłońmi krew tryskającą mu z szyi. Ja zaś kopię dogorywającego u mych stóp mężczyznę tak, że przewraca się na ziemię. Unoszę wysoko dwa bitewne sierpy, w tym jeden zakrwawiony i jak natchniona krzyczę: – Jedyne, czego pragnę, to dać wam wszystkim prawdziwy pokój, na zawsze! Jednakże ludzie z Akros przybywają tu wyłącznie siał śmierć oraz zniszczenie i zakładają nam niewolnicze łańcuchy! Zatem musimy siłą wypędzić ich z naszych krain! Nie pozostawiają nam żadnego wyboru! Więc zwyciężymy! Tak, tym razem zwyciężymy, albowiem na ten

chwalebny czas mamy w naszych szeregach samego, odrodzonego, boskiego Nelorum!

W reakcji na tę deklarację stojący koło mnie oficer z Romulum gwałtownie rozrywa na swej piersi granatowy mundur dominium. Następnie w jego ślady idzie większość niższych rangą oficerów. Pozostali rzucają się do ucieczki.

Ta sama scena, niczym rozprzestrzeniający się po obozie Akros pożar, rozgrywa się niebawem pomiędzy szeregowymi żołnierzami, którzy ostentacyjnie pozbywają się swych szarych mundurów. Natomiast ich kompani rodem z dominium biorą nogi za pas w obliczu raptem liczniejszego wroga. Ja sama, tuląc ponownie me dziecko do piersi, pozostaję na miejscu i w prawdziwym uniesieniu obserwuję me bezkrwawe zwycięstwo. Oto bowiem trzymam w ramionach nie tylko ukochanego syna, ale i broń, która zgodnie z legendą przyniesie nam tak długo wyczekiwany sukces. I zachowanie się dawnych przybyszy, którzy raptem zmieniają front, wcale mnie nie zaskakuje, a wręcz przeciwnie, dokładnie tego się spodziewałam.

Dominium Akros bowiem sprytnie zaprzęga inne ludy w swe niewolnicze, wojenne struktury. Lecz ile można zabijać i ginać samemu za nie swoją sprawę, a czynić to jedynie z powodu zasianej w sercu trwogi? To budzi naturalny opór. I sama już przez to przechodzę w posiadłości Grosta zastraszona wiecznym potępieniem i piekielnym ogniem. Długu, naprawdę długo tłamszę wtedy swą osobowość i naturalne pragnienie wolności. Ale wówczas się wyzwalam i teraz, dzięki Nelorum, wyzwolę ze strachu oraz ucisku wszystkie narody! Tym razem nic nas nie powstrzyma i wielkie posłannictwo świętego dziecka doprowadzi nas aż do Nowego Akros, z którego uczynimy jedynie stertę popiołów. My, uciśnione ludy, które to mówimy wreszcie dość zginaniu naszych karków i statecznie wyzwalamy się z narzucanych siłą okowów!



II. KOMPANI

Cztery osoby; niezwykle otyły mężczyzna, również pulchna kobieta, jednooka i czarnowłosa kobieta z kropkowanym tatuażem na twarzy oraz skośnooki, łysy przedstawiciel płci brzydkiej. Cała ta przybyła zza oceanu grupa staje na skraju dżungli i z zaciekawieniem przygląda się wojskowemu obozowisku.

– Więc to gdzieś tutaj ma przebywać nasza... Anrea...? – oznajmia w zadumie grubas Gabu.

– Niewątpliwie nie mylimy miejsca. – Viria wskazuje ręką na kolejne góry trupów w granatowych mundurach zbierane z przedpoła posępnej twierdzy i wrzucane na wozy.

– No tak, to do niej podobne, Anrei, taki klimat... – Wzrusza rezolutnie ramionami Ravel. Na co jako ostatnia, okręcając się na pięcie, głos zabiera Adora:

– Pójdę już... Pójdę zobaczyć, jak wyglądają przywiezione przez nas zapasy...

– A jak mają wyglądać? Przecież już je oglądałaś i to z dziesięć razy! – wydziera się na to Viria i uspokajająco dodaje: – Po prostu nie patrz więcej na zwłoki i nie myśl o tym, jak swego czasu obeszczyliśmy się z synalkiem Anrei, Avezanem. Zaś jej samej o tym po prostu nie wspominaj. Bo cię zabiję... – kończy szeptem.

– I myślisz... że wtedy... – duka niepewnie Adora.

– Tak, tak... – Klepie ją na rozluźnienie po plecach kobieta z czarną przepaską na oku. – Zapewniam, że wtedy nasza Bogini nie wbije nas wszystkich na pal. – I ponownie ściszone głosem dodaje: – Co najwyżej obedrze żywcem ze skóry i zje na surowo, przecież ją znacie... – A zaraz z pewnością w głosie gromko rzuca: – I pamiętajcie... Jakby co, to wszystko rzucamy na Exona oraz Kalillę! I nawet nie myślcie o tym, aby wspominać

Anrei, że mam małego rudzielca z Avezanem! Nie wiem, jak zareagowałyby nasza Bogini na wieści, iż właśnie zostaliśmy jedną, szczęśliwą rodziną...

Aż naraz do czwórki podróżników podchodzi roznegliżowany, biały mężczyzna i ochoczo zapytuje:

– Nowi ochotnicy gotowi wstąpić do armii zwycięskiego Nelorum? Witajcie!

– Więc pogłoski są prawdziwe...? Prowadzicie jakąś... wojnę...? – zapytuje pośpiesznie Gabu.

– Aaaa... zatem mam przed sobą przybyszy z daleka! – koryguje swoją wiedzę żołnierz. Na co Viria wyniośle odpowiada:

– Z bardzo daleka, bo widzisz... W naszych krainach wojownicy nie paradują półnago, tylko walczą w kolczugach lub zbrojach...

– Cóż... – Mężczyzna w samej bieliźnie drapie się nieco zafrasowany po brodzie, ale zaraz z dawnym entuzjazmem ochoczo wypala: – Stroje to nic, to nic! Jest z nami ktoś, kto zadba o wszystko, w tym także nowe mundury! Jest z nami bowiem boski Nelorum!

– A jest z wami może również niejaką Anrea...? – interesuje się Ravel.

– Królowa? Matka naszego odrodzonego Boga? Ależ oczywiście! Są razem nierozłączni, niczym swego czasu Nail oraz Nelorum!

– Nail, powiadasz... bardzo ciekawe... – mruczy pod nosem Viria, wytrzeszczając swe jedyne oko i rozkazująco przemawia: – Zatem pragniemy się z nią spotkać, z Anreą.

– Na pewno tego chcemy...? – Górna warga Adory zaczyna coraz szybciej drgać. Z kolei podirytowana kobieta rodem z konfederacji Favars krzyczy:

– No pewnie, że chcemy. Przecież nie po to przepłynęłam z moją piracką flotyllą szmat oceanu, aby teraz zostawić jedynie naszej Bogini dary i zabierać się już z powrotem!

– Dary...? – podchwytuje żołnierz. – W takim układzie niezwłocznie postaram się dla was o udzielenie audiencji. I jak już mówiłem, witajcie!

Wkrótce czwórka przybyszy, w tym narzekający na dotkliwy brak latającego dywanu i równie dotkliwy ból kolan Gabu, są poprowadzeni przed oblicze niezwykle wysokiej, rudowłosej kobiety.

*

Zasiadam w cieniu palm z niemowlęciem na rękach i nucę mu słodką pieśń o jego niegdysiejszej partnerce, boskiej Nail. Aż zauważam przede mną cztery klęczące postacie. Z powodu ich pokornie pochylonych głów prawie nie dostrzegam twarzy. Ale... tak, po chwili rozpoznaję je, a me własne oblicze ozdabia szczery uśmiech. To znacząco starsze wizerunki osób z mych snów, a przedstawiają one moich dawnych kompanów, których kolejno wymieniam:

– Gabu, Adora, Ravel i Viria... To wy... Zatem zapraszam, zasiądźcie tu ze mną. – Doprawdy wielce zaskoczona wskazuję miejsce naprzeciw siebie na macie. Jednak ostatnio dzieje się tak wiele dziwnych i wspaniałych rzeczy, że kolejna niezwykłość, której jestem świadkiem, na szczęście nie odbiera mi mowy. Wszak odnoszę wrażenie, że to właśnie w płynące z mych ust słowa z takim zaciekawieniem wsłuchują się przybysze. Aż jeden z nich, Gabu, z niedowierzaniem oświadcza:

– To ty... i ty... mówisz...

– Ja, Anrea, i dlaczego miałabym być niema...? – zapytuję beztrąsko, przeczesując me rude włosy.

– Wybacz naszemu mędrcomu, morską podróż mu szkodzi na głowę. – Viria trąca tłuszciocha łokciem w bok: – Przy okazji, ładna opalenizna... – Zwraca uwagę na kolor mej skóry i ciągnie dalej: – Tak więc zasłyszałam, że przebywasz obecnie na Wyspie Czarnego Piasku. Zaiste ładna mi wyspa... Toż ponoć przybijamy do kontynentu wielkiego niczym same Pendorum! W każdym razie... nie mogliśmy postąpić inaczej i oto stawiamy się przed twoim odrodzonym obliczem, Anreo. Choć prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy, czego się możemy spodziewać. W końcu podobno zabiłaś w zemście Tirę, a to śmiertelny grzech i ciągnąca się za tobą klątwa powinna pozbawić cię... No wiesz... – Jednooka kobieta spogląda podejrzliwie na me kompletne kończyny. Na co spokojnie odpowiadam:

– Wiem, do czego zmierzasz. Ale widocznie mój występki został zrównoważony dobrocią. Albowiem odstąpiłam w moim ostatnim żywocie od zabójstwa Abezzala, czyniąc to po raz pierwszy od niepamiętnego czasu...

– Aha, no tak. To wszystko oczywiście wyjaśnia – oznajmia jakby nigdy nic kobieta z Favera i rozglądając się po obozowisku, płynnie przechodzi do innego tematu: – Przypłynęliśmy do tego kontynentu raptem kilka dni temu, ale już wiemy, kim tutaj jesteś i co teraz tobą kieruje. Stąd przedstawiam nasze wspólne pytanie...

– Tak...?

– Jaki na ten czas zamierzasz ratować kontynent; Pendorum czy też Nelorum? Bo widzimy, że masz swe nowe dziecko w ramionach. Jednakże to nie jedyny twój potomek. Zaś niektórzy z nich sprawiają ostatnio wiele problemów. Inni z kolei, cóż powiedzieć... kroczą obroną przez ciebie drogą i starają się tragediom przeciwdziałać. Słowem...

– Się dzieje, jak to na kontynencie Pendorum, ha! – wypala raptem wręcz radośnie Ravel. Następnie pałeczkę w dość długiej opowieści przejmuje Gabu, po którym widać, że w potoku swych wypowiedzanych słów znajduje on prawdziwą przyjemność.

Dowiaduję się więc o wszystkim, co najistotniejsze z ostatniej historii kontynentu Pendorum. W tym przede wszystkim o piątce mych pierwszych, boskich dzieci z głowami zwierząt, które to brutalnie najeżdżają centralne władztwa na czele armii z Otchłani. Słyszę też o moim ostatnim synu, Avezanie i dla odmiany jego chwalebnych dokonaniach, również o moim innym potomku w postaci wybrańca Allearów zabitym w uknutym spisku przez pobratymców. Na koniec zaś ponownie zostaje wobec mnie postawione pytanie, kogo zamierzam obecnie wspierać. Osobiście nie zastanawiam się zbyt długo, tylko zgodnie ze swoim sercem daję jednoznaczny odpowiedź:

– Wierzcie mi, że jeżeli dana mi będzie taka możliwość, to wyruszę na kontynent Pendorum, aby nie szczędzić dla niego wszystkich swych sił. Pierwej jednak muszę ratować ziemię, po których od urodzenia stąkam, a mianowicie kontynent Nelorum. To tu się wychowałam i z tutejszymi ludźmi jestem na ten czas najsilniej związana. To moja ostateczna decyzja.

Moi dawni kompani przyjmują me słowa ze spokojem i zrozumieniem zarazem. Co więcej, niespodziewanie każdy z nich oferuje mi doraźną pomoc. Ravel oznajmia, że przywozi ze sobą blisko setkę gołębi pocztowych, dzięki którym można rozsyłać wieści. W tym te o odrodzeniu się legendarnego Nelorum, co powinno skutecznie ściągać w moje szeregi rekrutów. Przyjmuję tę nieodzowną pomoc z wielką wdzięcznością. Z kolei Adora ofiarowuje mi kosztowności, za które będę mogła wypłacać żołnierzom żołd oraz nabyć dla nich broń i mundury. Dostaję też upominek w postaci stroju gladiatrix, ale oddaję go z powrotem, ponieważ okazuje się na mnie za mały i to o wiele. Następnie Viria twierdzi, że sama, co prawda nie przywozi mi darów w postaci rzeczy, ale za to mogę liczyć na coś o wiele cenniejszego, czyli jej własną nieocenioną osobę, bowiem zamierza ona zabawić przy mnie trochę czasu. Przyjmuję tę pomoc, a jakże. Na koniec Gabu, który okazuje się prawdziwym mędrcom, zapytuje mnie o broń palną. Sugeruje on bowiem, że widział używane tutaj rusznice i sam wytworzył trochę podobnych egzemplarzy, które pragnie mi podarować.

W odpowiedzi, zaciekawiona, natychmiast każe przywołać do nas generała Sakkana. I za jego sprawą prezentuję nową, zdobyczną broń palną, której nasz wróg nie zdążył jeszcze użyć. Na jej widok, będący pod sporym wrażeniem Gabu, z uznaniem oświadcza:

– To są... muszkiety. Tak, niewątpliwie...

– Czyli...? – zapytuję, obserwując z uwagą zarysowującą się trwogę na obliczu otyłego mężczyzny. Ten wyjaśnia:

– To broń bardzo podobna do rusznic. Ale jej siła rażenia i prędkość obsługiwania, jak również zasięg oraz celność są znacznie większe... Być może nie oprą się tej broni nawet...

– Stada słoni... – dopowiadam zdanie do końca, sama nagle czując autentyczną obawę.

– Tak – potwierdza Gabu. – To doprawdy śmiertelnie groźne instrumenty śmierci.

– Więc co nam pozostaje...? – rzucam w powietrze pytanie. Na co zawadiacko odpowiada Ravel:

– Jak to, co? Skoro przeciwnik ma taką broń, jak rozumiem w dużej ilości, to i my musimy się w nią zaopatrzyć. A najprościej będzie ją...

– Ukraść... – Tym razem zdanie wieńczy Viria, spoglądając wymownie na skośnookiego mężczyznę.

– Dokładnie! – Ten zgadza się z przykłaśnięciem w dłonie. W tym momencie przemawia generał Sakkan:

– Według żołnierzy, którzy przeszli na naszą stronę ostatni transport broni pochodzi z fortecy Tudar położonej w centralnej części krainy Viglum.

– Więc zdobędziemy tę twierdzę...? – zapytuje niepewnie Gabu.

– Niestety oblężenie potrwałoby zapewne wiele miesięcy. A raczej nie mamy tyle czasu – zauważa zafrasowany generał. Na co z entuzjazmem wypala Ravel:

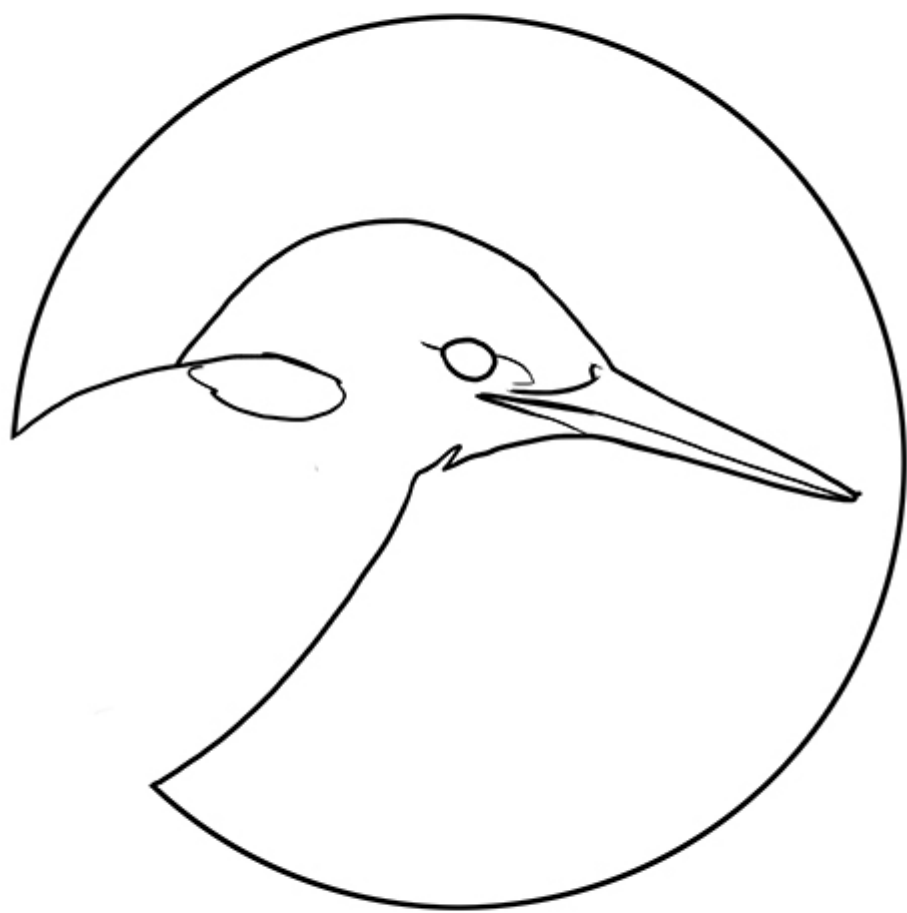
– A kto mówi o obleganiu! Zakradniemy się tam i otworzymy bramy przybyłej armii!

– Zakradniemy, tak po prostu...? – wyraża wątpliwość Gabu.

– Trochę inaczej niż tak po prostu. – Skośnooki mężczyzna puszcza do wszystkich oko. – Zaufajcie mi i wiedźcie, że wujek Ravel ma parę niespodzianek w zanadru... – Niedyskretnie chowa do worka na swych plecach podejrzenie wystającą mackę niewiadomego pochodzenia.

Osobiście postanawiam zaufać skośnookiemu mężczyźnie i jego kompanom, choć znam ich jedynie z mych snów. Ale odkąd zachodzę z Muranem w ciążę, a przede wszystkim, gdy na świat przychodzi nasze wspólne dziecko, odrodzony Nelorum, jestem wręcz wypełnionym po brzegi naczyniem nadziei. Dlatego na mój rozkaz nasza formująca się, sojusznicza armia obiera jednoznaczny kierunek na wspomnianą twierdzę Tudar. W międzyczasie po całym kontynencie rozsyłam za pomocą gołębi pocztowych wieści o kolejnym powstaniu, lecz tym razem z przewodzącym nam świętym Nelorum. Za dobra przywiezione przez Adorę uzupełniam naprędce braki w zaopatrzeniu, kupuję broń i mundury. Ponadto w twierdzy Manakisz pozostawiam Murana, nie mogąc w jego obecnym stanie zabrać go na wojenną wyprawę. Natomiast naszego syna powierzam czasowo memu zastępcy, generałowi Sakkanowi prowadzącemu pod moją nieobecność nasze wojsko. Sama wraz z Ravelem, Virią i sześcioma moimi najlepszymi żołnierzami ruszam konno przodem do twierdzy wroga. Tym

sposobem stanowimy specjalną grupę, która ma za zadanie przeniknąć do warowni i otworzyć jej bramy w chwili, kiedy dotrze tam nasza armia. Nie możemy zawieść i nawet nie biorę tego pod uwagę. Moi kompani to zaprawieni w bojach weterani, zaś ja sama ostatnimi czasy jestem wielce uskrzydłona i bezgranicznie wierzę w powodzenie tej misji, która ma się stać kolejnym etapem prowadzącym mnie do wygrania całej wojny.



III. PRZEKLNIJ ALBO WYBACZ

Płomienie, wszędzie płomienie! Cały świat staje w przerażającej poźodze! Gdzie nie spojrzeć wygłodniałe języki ognia trawią wszystko; ziemię i wzniosłe niebiosa, drzewa, zwierzęta, domostwa i ludzi! Ci ostatni opleceni płomiennymi serpentynami kroczą ze wzniesionymi, zwęglonymi rękoma. Mięso spala się na nich do kości i nie sposób odczytać zdeformowanych rysów twarzy. Lecz zupełnie nie wiedzieć czemu oni nie konają! Wciąż niczym armia skazańców, potępionych, nieprzerwanie kroczą, nie będąc w stanie przerwać swego upiornego cierpienia! Te wydaje się wręcz wieczne w wiecznej krainie płonących upiorów!

– Piekło! To piekło!

– Już dobrze... spokojnie... – słyszę koło siebie leniwie wypowiedane słowa. Rozdygotana ocieram zimny pot z czoła i wspinam się na posłaniu na łokciach. Jest gwiazdzista noc i znowu nawiedza mnie ten sam senny koszmar. Natomiast osobą, która się do mnie zwraca jest leżąca koło mnie Viria. Ta podejrzliwie kontynuuje:

– Twoje oczy... Kiedyś, za twego poprzedniego życia zawsze lśniły jasnością. Zaś przed chwilą wydawały się płonąć niemal żywym ogniem, czerwienią. Coś się zmieniło...?

Ciągle roztrzęsiona spoglądam na kobietę z przepaską na oku. W końcu mój przyspieszony oddech zwalnia i wraz z łagodniejszym falowaniem klatki piersiowej i w mym umyśle ustaje gwałtowny ruch burzliwych myśli. Jednak nie udzielam żadnej odpowiedzi, ponieważ doprawdy nie wiem, co ulega zmianie. Choć muszę przyznać, że obok wielkiego szczęścia z powodu narodzin mego dziecka i wszczęcia z sukcesem kolejnej rewolty, w moim sercu skrycie tli się też niepokój, który daje o sobie znać w porze snów. Temu nie mogę zaprzeczyć, ale jednocześnie nie mogę się dać temu

lękowi pochłonać. Dlatego odkręcam się na drugi bok i usilnie nakłaniam ciało do ponownego zaznania snu.

Nazajutrz nasza dziewiątka kontynuuje konno drogę do fortecy Tudar. Obok Viri oraz Ravela towarzyszą nam wojownicy ze wszystkich krain kontynentu. Są to jedne z osób, które po przegranej bitwie poprzedniej rewolty udają się w ślad za mną aż do twierdzy Manakisz. Albowiem mimo klęski wielu dawnych przybyszy posmakowuje wolności i postanawia być dalej wiernych idei walki o wyzwolenie.

Ta, odkąd z Muranem rozpoczynamy nasz bunt, wydaje się wręcz szerzyć na kontynencie niczym prawdziwa zaraza. To przygasa w niektórych rejonach, a w innych wybucha ze zdwojoną siłą. Lecz przede wszystkim niemal wszyscy wydają się nią być już nią zainfekowani.

To właśnie dzięki temu nowemu duchowi walki wystarcza zaledwie jedna iskra w postaci pojawiania się odrodzonego Nelorum i cała rzesza dawnych białych przybyszy w armii dominium nagle zmienia front. Z tego samego powodu szeregi naszego wojska prowadzonego obecnie przez generała Sakkana masowo zasilają nowi ochotnicy. Czy tym razem zbierze się nas taka siła, której dominium Akros się wreszcie nie oprze i to ono będzie w końcu po stronie przegranych? Wierzę w to głęboko i z całego serca, a czas pokaże.

– Czas... chyba już czas na postój... – mówi leniwie Ravel, spoglądając na chylące się ku zachodowi słońce. Na co rozkładam na grzbiecie rumaka mapę i oświadczam:

– Pojedziemy jeszcze kawałek na zachód. W pobliżu mieszka osoba, u której niewątpliwie możemy liczyć na gościnę. Zaś od jej domostwa jest już naprawdę blisko to fortecy Tudar. Będziemy mogli spróbować ją zająć następnego dnia. No co...? – Ostatnie zapytanie kieruję do wpatrującej się w me usta, jak sroka w gnat Viri. Ta czyni kwaśną minę i beztrąsko rzuca:

– Siła przyzwyczajęń. Ciągle nie mogę przywyknąć do tego, że mówisz. Ale... skoro mówisz, że masz w pobliżu znajomego, to lepszą gościną niż dotychczasowa, czyli pod gołym niebem bym nie pogardziła. Ty pośpisz sobie w samotności i wreszcie nie będziesz nikogo budzić nocnymi wrzaskami, a ja przytulę sobie do snu może nieco tutejszego wina, o tak...

Oczywiście, jeżeli wspomniane miejsce jest pewne i bezpieczne zarazem. – Puszczam mi swe jedyna oko.

W odpowiedzi wzruszam jedynie ramionami, bowiem słowa, które wypowiadam i tak przecież nie podlegają dyskusji. To ja jestem królową, przewodzę wyprawie i nią zarządzam. Dlatego bynajmniej nie oczekuję zgody, a posłusznego wypełniania moich rozkazów.

Jest już głucha noc, kiedy zajeżdżamy do znanego mi drewnianego domostwa w pobliżu rzeki, a otoczonego gęstwiną iglastych drzew. Zanim zapukam do drzwi, z pewnym rozrzewnieniem wspominam spędzony tu z Muranem czas, który był dla nas po prostu wspaniały.

Zastanawiam się, czy istnieje jeszcze jakaś możliwość, aby taki niezwykle stan powrócił. Gdy wtem drzwi otwiera uzbrojony w topór i tarczę starszy, zarośnięty mężczyzna. Przez moment mierzy mnie podejrzliwie wzrokiem, także stojących za moimi plecami kompanów, aż odrzuca broń i mocno przytula do siebie, klepiąc silnie po plecach. Sama odwzajemniam uścisk, jak wobec bliskiej mi osoby, którą Vigun tak naprawdę jest.

Niebawem gospodarz przygotowuje nam, strudzonym podróżnikom późną wieczerzę. Stawia na stole pożywne i pachnące jadło w postaci świeżo podpieczonego mięsa, także trochę warzyw i chleba, do tego wodę oraz wino.

Sama zadowolam się pajdą czerstwego, ciemnego chleba i kubkiem wody. Jednocześnie obserwuję, jak stroniący od siebie Viria oraz Ravel zasiadają po przeciwnych stronach stołu i do przesytu raczą się mięsem i winem, a za towarzyszy mają mężczyzn odpowiednio z krainy Viglum oraz Orienum. Do mnie z kolei, siedzącej z boku na taborecie, przysiada się gospodarz domostwa. Spogląda na mój tradycyjny ubiór, gdzie długa, szara suknia odsłania mi łono i wskazując nieco na prawo od mego pępka, z niezadowoleniem kręci głową.

– Piękna blizna do kompletu... – oznajmia. – Ale od razu poznaję, że pozostałość po niej to kiepska robota, a nie zacne szycie mej zdolnej małżonki...

– Postrzelono mnie z rusznicy podczas bitwy na krwawych wzgórzach – odpowiadam.

– Aha...

– A gdzie Oslund...? – wyrażam troskę, przeżuwając kawałek chleba. Na co starszy mężczyzna wzdycha głęboko i z bólem oświadcza:

– Zabrali ją...

– Kto? – Robię okrągłe oczy i zaskoczona przestaję jeść.

– Cóż... przywlekły się tutaj same szare płaszcze, wyobraź sobie. I pytali o ciebie, tak, właśnie o ciebie... – Pokazuje na mnie oskarżycielsko palcem, potem na siebie i kontynuuje: – Oczywiście skłamałem, że cię nie znam. Ale moja małżonka, Oslund... Widzisz, ona nigdy nie kłamie i powiedziała im wszystko, dokładnie wszystko... – W tym momencie rozglądam się niepewnie po izbie, a Vigun bynajmniej mnie nie uspokaja swoimi dalszymi słowami, tylko z pewną dwuznacznością mówi: – Pierwszym rozkazem szarych płaszczy za moje kłamstwa miała być utrata przeze mnie języka. Już miałem obcy sztylet przy ustach gotowy do cięcia. Ale wtedy pojawił się jakiś mężczyzna z dominium. Przedstawił się on jako Otto i...

– Otto...

– Ta... i powiedział, że moich win nie muszę zmazywać cierpieniem, a mogę wierną służbą...

– Znam te słowa...

– Zasugerował, że mogę zachować język, a także odzyskać małżonkę i spokój swego żywota, jeżeli tylko będę współpracował. – Moje dłonie kierują się odruchowo na trzonki sierpów, a Vigun, po chwili oddechu, ciągnie dalej: – Oslund jest więziona w pobliskiej fortecy na łysym szczycie, Tudar. Stamtąd jest też obserwowana okolica mego domu. I jeżeli się zjawisz, mam dorzucić do pieca podarowany mi czerwony proszek, by dawał krwisty dym z komina, specjalny sygnał...

– Jaki... jaki dym wydobywa się obecnie z twego komina...? – Łypię oczyma w kierunku niedawno wzniesionego paleniska, gdzie gospodarz przygotowywał jedzenie. – Jakiego koloru jest dym?! – mówię ostrzej i zaciskam dłonie na rękojeściach sierpów.

– Czerwony, Anreo, czerwony... – oświadcza pół żywym głosem naraz podłamany Vigun. – Wybacz mi albo i nie, bo właśnie cię zdradzam, ale i

ostrzegam... Uciekaj stąd, Anreo...

W tym momencie wręcz wyrywam swego ducha z mego ciała i już jestem w ulotnej formie za domem Viguna. W największym pośpiechu przemierzam mroczne knieje i ze zgrozą zauważam dosłownie zewsząd ściągających tu żołnierzy z pochodniami i w szarych mundurach. Zaś najwięcej jest ich już przycupniętych za jedynymi drzwiami tego domostwa.

– Anrea! – słyszę naraz gromkie zawołanie Viri i czuję jej uderzenie otwartą dłonią w twarz, gdy tylko powracam do ciała. – Co z tobą, omdlałaś...? A może żarcie jest zatrute?!

Zamiast udzielić odpowiedzi, błyskawicznie staję na nogi i gorączkowo rozglądam się po obszernej izbie. W końcu mój wzrok ogniskuje się na płomieniach paleniska i wskazując na nie, rozkazującym tonem rzucam:

– Macie wygasić ogień, natychmiast, i kolejno ruszać przez komin na dach. Wykonać!

– No co ty...? – jęczy leniwie Ravel, który z obgryzaną z mięsa kością w dłoni rozkłada się w pańskiej pozie za stołem. Na co sama wręcz wybucham:

– Wydaję rozkaz! – Równocześnie aż nader wymownie wymachuję parę sierpów.

– Już dobrze, w porządku... Ale wiesz, że teraz nie śniesz i to nie senny koszmar...? – pyta z rezerwą Viria.

– Tak, wiem! – odpowiadam zdecydowanie i jednoznacznie wskazuję sierpami na komin.

– Się robi, królowo... – Jednooka kobieta ciężko wzdycha i zakasuje rękawy swego nietypowego, czarnego i obcisłego stroju. Następnie razem z innymi przystępuje do wykonania mego polecenia. Ja sama wbijam lodowate spojrzenie w Viguna. Ten spogląda na mnie smutnym wzrokiem i nieco unosi głowę, odsłaniając gardło, by ułatwić mi cięcie. Myśli, że chciałabym go tak srodze ukarać? Ale kto tak naprawdę jest winny?

– To ja zabiłam waszego syna – wyrzucam z siebie na bezdechu, zamiast użyć broni.

– Wiem – odpowiada posepnie starszy mężczyzna. – Otto mi to wyznał. Lecz wydałem cię nie z zemsty, a po to, żeby ratować ostatnią bliską mi osobę, moją Oslund. Przeklnij albo wybacz...

Nic już nie mówię, tylko jako ostatnia porywam się do wygaszonego paleniska i z mozołem wspinam po wnętrzu komina ciągle bijącego gorącym od rozgrzanych kamieni. Na dachu jestem już cała w sadzy podobnie jak reszta moich kompanów. Dzięki temu w mroku nocy jesteśmy praktycznie niewidoczni.

W tym momencie wymownie pokazuję na łuki na plecach towarzyszy, a potem bujne zarośla naprzeciw drzwi wejściowych. Spotykam się jednak z pytającymi spojrzeniami. Zatem sama zdejmuję z pleców jeden z oszczepów i przymierzam w sugerowaną wcześniej stronę. Wtedy reszta mej grupy zakłada strzały na cięciwy. I kiedy miotam drzewcową bronią, w sukurs memu rzutowi idzie oddana na oślep salwa z łuków. Niemal w tej samej chwili w gęstwinie przed domem dobywają się upiorne wrzaski okaleczanych ludzi.

Tylko na to czekam, na odwrócenie uwagi, i błyskawicznie wskazuję kompanom przeciwległy kierunek. Zsuwam się ze spadzistego dachu i zawisam rękoma za jego krawędź, po czym luzuję uchwyt. Boleśnie upadam, tylko cudem nie skręcając kostki. Wstaję i od razu skacze na mnie jakaś postać uzbrojona w szablę. Uchylam się przed ciosem i wyjętym zza pasa sierpem rozcinam brzuch oraz gardło ofiary. Zanim skona, tamuję jej dłonią usta, chroniąc przed wydawaniem odgłosów, a koło mnie skaczą z dachu moi kompani.

Bez zbędnych słów, które mogłyby w nocnej ciszy zdradzić nasze położenie, wskazuję grupie dalszą drogę ucieczki przez iglasty las. Nie decyduję się iść do naszych koni, bowiem te na pewno zostały już obstawione.

Tak oto ruszamy przez leśne knieje. Gdy naraz w mroku rozchodzą się liczne, męskie nawoływania. Zaraz słyhać też wściekłe ujadanie psów, a wokół widać blade łuny zapalonych pochodni.

Nisko pochylona staram się biec po omacku tam, gdzie jest najciemniej, a jednocześnie najciszej. Jednak szybko odnoszę wrażenie, że pętla pościgu się coraz bardziej zacieśnia. Aż raptem gwałtownie przybliżają się zza

naszych pleców wściekle ujadania psów, co jest jednoznaczne z tym, że właśnie spuszczone na nas całą psią sforę. Nie mamy więc szans na uniknięcie krwawej konfrontacji. Dlatego staję w miejscu i rzucam zdecydowanie do kompanów:

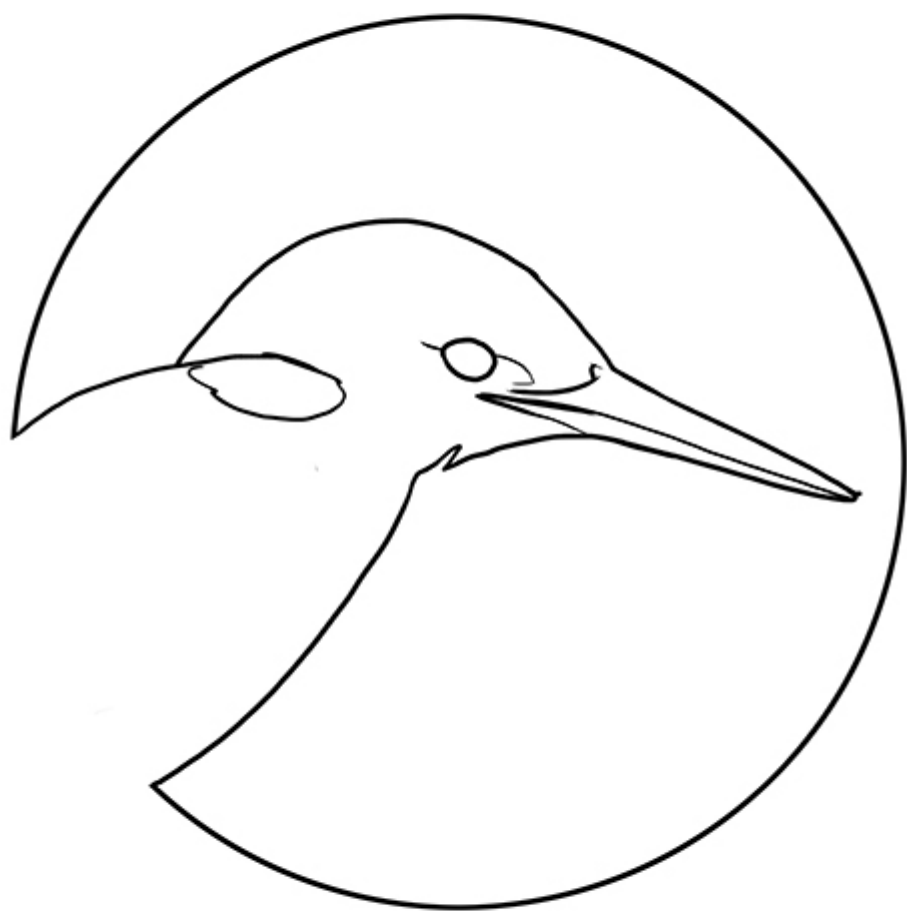
– Rozsuńcie się w jedną linię i utrzymajcie szyk! – Nieoczekiwanie słyszę zirytowany głos Ravela:

– Kiedy przed nami słyhać już szum rzeki, zgubimy tam psiarnię!

– Ale... – Waham się moment, złowrogie ujadanie się błyskawicznie przybliża, a ja odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że odgłosy te pochodzą nawet z kilkudziesięciu zwierzęcych gardeł. Przeto wydaje kolejną, bynajmniej nieprzynosząca mi chwały komendę: – Viria i Ravel za mną! Reszta! Utrzymać pozycję...

Zaraz biegnę już jak oszalała wprost w kierunku, gdzie skośnooki mężczyzna wskazał, że słyszy szum rzecznoego nurtu. Za moimi plecami rozlegają się raptem jeszcze zajadlejsze warknięcia psów, którym towarzyszą ich wściekle skowyty, a także rozdzierające przestrzeń wrzaski okaleczanych ludzi. Aż raptem grunt pod moimi nogami się urywa i spadam w przepaść!

Wymachuję rozpaczliwie rękoma i nogami, po czym zderzam się z wodną powierzchnią. Zachłystuję się lodowatą cieczą i porywa mnie rzeczny nurt. Nie umiem pływać, nie umiem pływać! – kotłuje mi się w głowie, kiedy silny prąd ściąga mnie w głębokie odmęty, to wypycha na powierzchnię, dając zaczerpnąć tchu. Aż raptem uderzam o coś twardego głową raz i drugi. Z tą chwilą jestem coraz bardziej zamroczone, następnie na dobre całkiem tracę przytomność.



IV. FORTECA TUDAR

Pierwsze, czego doświadczam po odzyskaniu świadomości to światło słońca oraz promieniujący do całego wnętrza czaszki dotkliwy ból z mojej obitej szczęki. Przeżuwam z niesmakiem w ustach ząb i wypluwam go na piaszczyste podłoże. Myślę, że niedługo będę miała zapewne więcej zębów z kości słoniowej niż swoich własnych.

Jednak bynajmniej nie kompletność uzębienia powinna być obecnie moim największym zmartwieniem. Orientuję się bowiem, że mam żelazne kajdany na rękach i nogach, podobnie jak siedzący koło mnie Ravel, Viria oraz jeden z moich ludzi dotkliwie pogryziony przez psy. Leżymy tak skuci na piaszczystej plaży przy płynącej wartko rzece. Zaś wokół nas aż roi się od żołnierzy w szarych mundurach. Lecz nie tylko od nich samych.

– Otto... – Po ostatniej utracie zęba mówię, niemal sepleniąc na widok znajomej mi twarzy mężczyzny. Ten kończy coś tłumaczyć oficerowi w granatowym uniformie. Następnie widząc, że się ocknęłam, podchodzi do mnie. Spogląda na moją osobę, ale czyni to bez wyrazu i jednocześnie rzuca za plecy:

– Przetransportujcie więźniów do najbliższej twierdzy, po czym przesłuchajcie ich należycie. I nie torturujcie rudowłosej, jeśli się ukorzy, wyrzeknie walki, poprzysięgnie wierność dominium i będzie błagać na kolanach o powrót do męża. Tak czy inaczej, ruda kobieta ma przeżyć.

– Ruda kobieta... – powtarzam pod nosem, uświadamiając sobie, że najwyraźniej mam do czynienia z kolejnym egzemplarzem Otta i nawet nie chcę wiedzieć, którym z kolei.

Dalej sprawy toczą się zgodnie z przewidywaniem. Jeszcze tego samego dnia dowiezieni zostajemy w drewnianej klatce na szczyt pozbawionego drzew wzniesienia za wysokie mury posępnej warowni. Więc o ironio losu

jest to niewątpliwie forteca Tudar, wszak zamierzaliśmy dotrzeć do niej w nieco inny sposób.

Wewnątrz jesteśmy wleczeni w łańcuchach przez strażników na górne piętra. Natomiast po drodze przemierzamy odrażającą salę pełną wymyślnych narzędzi tortur, jak stoły do łamania kołem, pręgierze czy przeróżne zestawy biczy, młotków, szpikulców i ostrzy.

Na nieszczęście jest tu też przykuta do ściany kobieca postać w dużej mierze ze spalonym, nagim ciałem. Nie widać jej twarzy, bo ma kaptur na głowie, za to wydaje ona z siebie miarowe, ciężkie i chrapliwe rżenie, które jest niczym błagalne wołanie o szybką śmierć.

I ja sama będę się o nią modlić dla siebie oraz moich kompanów, jeżeli przyjdzie nam zawitać do tej przeklętej sali, co jest niestety ze wszech miar prawdopodobne. Najpierw jednak zostajemy zamknięci wspólnie w ciemnym lochu. Dość obszernym pomieszczeniu, gdzie poza przebiegającymi po podłodze szczurami nie ma dosłownie nic innego. Zaś za kratami jest para pilnujących nas strażników. Obaj zasiadają na drewnianych skrzyniach i w świetle pochodni grają znudzeni w karty rzucając niedbale na chybotliwy stolik pomiędzy nimi. Co pewien czas jeden z nich, chyba tylko po to, aby przerwać ciszę, rzuca w powietrze zapytanie: czy ruda kobieta chce się już ukorzyć? Za każdym razem nic nie odpowiadam, tylko odruchowo kręcę przecząco głową. Aż w pewnym momencie głos pretensjonalnie zabiera Viria:

– Pić... pić... Chce mi się pić!

– Milcz, jednooka szmato... Właśnie, szmato, dobrze jej powiedziałem, a co... – mruczy pod nosem bardziej znużony z pary strażników grających w karty i z drwiną dodaje: – Mogę ci co najwyżej naszczać do mordy, taki ze mnie łaskawca, o...

– Niech będzie – odpowiada niespodziewanie i hardo zarazem Viria, po czym klęka przy kratkach z szeroko otwartymi ustami. Na co wypowiadający się uprzednio mężczyzna mierzy ją podejrzliwym wzrokiem, przenosi go na osłupiałego kompana, który zastyga z uniesioną kartą do gry, a następnie cedzi przez zęby:

– Takaś, ty, bezczelna, suko...? To zobaczymy... – Wstaje ociężale, podchodzi do krat i rozpina sobie rozporek. Lecz nie mija chwila, a

rozkosznie pojękuje: – Co ty robisz ze swoim językiem, no co ty...? Hm... takich rozkoszy jednak nie odmówię... A mówili, że fucha strażnika to czysta nuda... Nie powiem, zaczyna mi się coraz bardziej podobać, o tak...

Z obrzydzeniem spoglądam na tę rozwiązłą scenę i wstaję, aby przerwać ten obsceniczny spektakl. Ale naraz czuję na ramieniu usadzającą mnie rękę. Spoglądam na jej właściciela. Jest nim Ravel, który kręci do mnie przecząco głową na znak, żebym nie reagowała. Osobiście, jako władczyni, nie zwykłam ulegać cudzym wskazaniom. Dlatego zdecydowanym ruchem zrzucam z siebie rękę Ravela, a jednocześnie zauważam kątem oka, że Viria sama odchyła się do strażnika. Ten spogląda na nią gniewnie i warczy:

– Dokończ, co zaczęłaś, szmato!

– Kiedy mówiłam, że chce mi się pić. Zaszło mi w ustach... – posykuje jednooka kobieta i łypie wzrokiem na leżący koło stolika bukłak.

– Gerg, podaj wino! – wydziera się zdenerwowany strażnik przy kratkach do zasiadającego za stolikiem mężczyzny. Ten niepewnie duka:

– Kiedy... mieliśmy wstępnie zmiękczyć więźniów i nic im nie dawać...

– Kiedy mnie swędzi! – Wskazuje na swoje krocze drugi z pilnujących.
– Może więc sam dokończysz to, co ta szmata zaczęła i mi ulżysz, hę?!

– W sumie... może mógłbym... – zająkuje się Gerg. Na co jego kompan niemal spala go wzrokiem. W efekcie zaraz ma podany bukłak z winem, który przeciska przez kraty do Viri. Ta pije łapczywie, potem podrzuca skórzane naczynie do mnie i mówi:

– Reszta dla was, smacznego.

Korzystam z okazji, gasząc dojmujące pragnienie cierpkim trunkiem i podaję bukłak pozostałym osadzonym w celi. Z kolei niezaspokojony strażnik wpada w narastającą wściekłość, krzycząc do Viri:

– Nie zapomniałaś o czymś, szmato?!

– A tak, racja... – Jednooka kobieta spogląda na krocze mężczyzny i przeciągle ziewa. Następnie leniwie mruczy: – Za taką, pełną usługę wypada dorzucić coś do wina, nie uważasz, ogierze...? Może trochę chleba z masłem...?

– Ty... – Strażnik zaciska dłonie w pięści i spogląda na drzwi do celi. Ale zaraz z trudem bierze na wodze emocje i gniewnie chrypi: – Dobrze

wiem, co kombinujesz. Chciałabyś, abym tam wszedł po ciebie... Ale twoje niedoczekanie. Zamiast tego przyniosę tu sobie same pyszności i będę jadł, wręcz się obżerał, patrząc, jak sama się tylko ślinisz. I jeszcze będziesz mnie błagać, abym cię wziął przez kraty. A ja może nie będę miał akurat ochoty? I co ty na to, szmato?! – Po tym wybuchu zbulwersowany mężczyzna wychodzi z pomieszczenia. Za to rozlega się drwiący głos Ravela:

– Kobiety... Same nie wiedzą, czego chcą i nawet nie potrafią należycie zaspokoić kochanka. Bo tak naprawdę, tylko mężczyzna wie... jak dogodzić mężczyźnie... – Puszczając słodkiego całusa pozostałemu w komnacie strażnikowi. Ten podchwytuje:

– Prawdą to jest, zaiste... – mówi i raptem zdaje się wręcz pożerać Ravela wzrokiem. A zaraz, jakby sam sobie wydawał komendę, rzuca w powietrze: – Już czas, zatem zabieram więźnia na przesłuchanie. Zaś pozostali nie ruszać się z miejsca! – Wraz z tą deklaracją otwiera drzwi celi i chwyta za łańcuch skośnookiego mężczyzny przytwierdzony do jego obroży, po czym wyprowadza więźnia zarówno z celi, jak i więziennej komnaty.

Oglądam to wszystko doprawdy osłupiała. Aż mój wzrok zastyga na podśmiechującej się Viri. Ta w końcu odejmuje sobie rękę od ust i beztrąsko do mnie oznajmia:

– Mam nadzieję, że wino smakowało. I rozchmurz się, królowo, wszak zaraz będziesz już wolna. Chociaż o samą twierdzę będziesz musiała jeszcze zawalczyć.

W odpowiedzi kręcę z niedowierzaniem głową. Gdy wtem w przejściu pojawia się Ravel. Jest już bez krepujących go łańcuchów za to z kluczem w dłoni. I uśmiechając się z przekąsem, jak gdyby nigdy nic otwiera drzwi do naszej celi, mówiąc:

– Kiepski był z Gerga kochanek i za brak należytej umiejętności w sztuce miłości ponosi on stosowną karę... – Skośnooki mężczyzna wyciera o swe ubranie lekko zakrwawione ręce, a potem kolejno odkuwa nas z kajdan. Na koniec przytula się do niego Viria i z pewnym uczuciem przemawia:

– Chyba się wygłupiliśmy z tą wzajemną przysięgą wierności, którą to niby złamaliśmy oboje... To nic nie daje i to nie my... Zatem, zgoda...?

– Pewnie, że zgoda, najdroższa... I już się nie mogę doczekać, kiedy cię znowu zdradzę...

– Ja ciebie też... – stwierdza z przekonaniem Viria i wspólnie się namiętnie całują.

Osobiście jestem właśnie świadkiem chyba najdziwniejszego powrotu do siebie kochanków okraszonego iście niezwykłym wyznaniem miłości i równie kontrowersyjnymi zapowiedziami rozwoju tego uczucia. Jednakże kończę ponownie kręcić z niedowierzaniem głową i raptem rzucam się jak oszalała do wyjścia z pomieszczenia. Tam bowiem staje obecnie oniemiały z wrażenia nie kto inny, jak drugi strażnik z tacą pełną pachnącego jedzenia!

Chwytam więc gwałtownie mężczyznę za klapy ubrania na torsie i ciągnę ku sobie. W efekcie przewracamy się razem, zasypując jadłem. A wespół z nami na kamienną podłogę spada też metalowa taca, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

Przez chwilę taczam się i siłuję ze strażnikiem, aż wiotczeje on w moich ramionach, gdy Viria z Ravelem wspólnie go duszą. Następnie moi kompani skaczą do obu stron wyjścia z pomieszczenia, by zastygnąć tam w gotowości. Ja sama pozostaję przykucnięta nad trupem strażnika w otoczeniu rozsypanego jedzenia i w napięciu czekam, co się dalej wydarzy.

Nie mija wiele czasu, a w przejściu pojawia się kolejny mężczyzna w szarym mundurze. Staje on jak wryty i spogląda na mnie osłupiały, aż za klapy munduru ciągnie go ku sobie Viria i kusząco do niego szepcze:

– Witaj, ogierze...

– A może wybierzesz mnie...? – W swoją stronę odciąga go Ravel i cmoka głośno w policzek.

Na dobre już skołowany strażnik ponownie patrzy na mnie. Lecz w tym momencie na jego twarzy ląduje blaszana taca, którą z impetem ciskam! Tuż za zastawą stołową sama rzucam się na mężczyznę i obalam go z kompanami na podłogę. Wspólnie tamujemy mu dłońmi usta i również

dusimy. Nie mamy wyboru – musimy pozbawić go życia, aby ratować własne. Takie są brutalne reguły i według nich postępujemy.

Po dokonanym morderstwie Ravel uzbraja się w buławę wyciągniętą zza pasa martwego już strażnika. U drugiego trupa Viria odnajduje z zadowoleniem nóż. Osobiście pozostaje uzbrojona jedynie w metalową tace, zaś asystuje nam jeszcze kulejący, pogryziony wojownik z Orienum. Dla niego jednak nie mamy już żadnego oręża.

Zaraz przemierzamy już czujnie zanurzone w półmroku korytarze twierdzy, nie wiedząc na dobrą sprawę, dokąd zmierzamy. Pierwotnie planowaliśmy opanować bramę, by ją otworzyć przed naszym nadciągającym wojskiem. Lecz teraz równie istotne jest dla nas to, by po prostu zachować swe życie.

Aż w pewnym momencie docieramy do drzwi, które wydają mi się znajome. Wskazuję na nie pozostałym na znak, że pragnę wejść do środka. Viria oraz Ravel zgodnie kręcą zniechęcająco głowami, zaś pogryziony mężczyzna pozostaje obojętny. Ja jednak tradycyjnie nie pytam o zgodę, tylko już popycham zdecydowanie wrota i jako pierwsza wkraczam do jaśniejszego, obszernego wnętrza.

Moje pierwotne przypuszczenie mnie nie zawodzi. Oto staje przed nami otworem sala tortur, gdzie obecnie trójka katów pastwi się nad przypalaną ogniem kobietą. Niestety napotkani oprawcy nie dają się dostatecznie zaskoczyć i widząc nas, błyskawicznie ruszają do walki.

Osobiście używam mej tacy niczym tarczy i zręcznie osłaniam się nią przed rzucanymi we mnie sztyletami o niezwykle cienkich ostrzach. Jednocześnie Ravel oraz Viria pojawiają się po moich bokach i także zostają wciągnięci w wir rozgorzałej bitwy. Przeto ciągle chroniąc się tacą, krocę z wolna do przodu i obserwuję walczących kompanów.

Jednooka kobieta ściera się z zakapturzonym mężczyzną uzbrojonym w płonącą żagiew, a sama paruje wymierzane w nią ciosy posiadany nożem. Raptem skraca ona dystans do napastnika, chwytając go za uzbrojone ramię i siłując się z nim, kierując płonącą główkę wprost na krocze kata. Ten wyje przeraźliwie, gdy jego spodnie zajmują się ogniem. Puszczając swoją broń i uciekając na tyły komnaty, gdzie stoi wielka balia z wodą, zapewne do podtapiania ofiar. Poparzony mężczyzna skacze tam, jak oszalały. Lecz

Viria czyni to w ślad za nim i przygniata swym ciałem. Następnie przydusza go pod wodą tak długo, aż jej ofiara zostaje utopiona. Na koniec jednooka kobieta zabarwia na czerwono wodę po podcięciu mężczyźnie gardła.

W tym czasie Ravel pojedynkuje się z innym przeciwnikiem. Atakując kolczastą buławą, sam co raz uskakuje przed ciosami rzeźniczym tasakiem. Przy czym skośnooki mężczyzna wymierza celne ciosy w górne i dolne kończyny napastnika. Aż skutecznie go rozbija i poobijanego popycha z impetem na leżące w poziomie koło do łamania kości. I bynajmniej nie daje już się z niego podźwignąć ofierze, tylko chwyta z podłogi młot kowalski. Za jego sprawą, wręcz z pasją, wprawiając koło w ruch, gruchocze kolejno piszczele, łydki, nadgarstki i przedramiona kata, a potem i jego masywniejsze kości. Aż wieńczy swe dzieło uderzeniem ciężkiego młota w klatkę piersiową, czym z głośnym trzaskiem łamie w zgruchotanym ciele kręgosłup.

Osobiście nie raz byłam już świadkiem wielkiego okrucieństwa na bitewnych polach, ale bezwzględne poczynania mych kompanów nawet na mnie robią odpychające wrażenie. Podobnie chyba na trzecim kacie, który już nie podejmuje ze mną walki, tylko coraz bardziej się cofa.

W końcu jest on już przy samym wysokim oknie bez szyb i podnosi ręce w geście poddania. Podchodzę więc do niego, by go rozbroić. Wtedy niespodziewanie szarpie mnie on za tacę i przyciąga do siebie. Okręca mnie w miejscu i przystawia mi nóż do gardła.

Doprawdy nie wiem, jak mogę się dać tak łatwo podejść i obezwładnić niczym dziecko?! Z kolei mój oprawca wskazuje moim kompanom, żeby porzucili swój oręż. I o ile mężczyzna z Orienum czyni to bez słowa sprzeciwu ze znalezionym tu toporkiem, o tyle Viria oraz Ravel rozglądają się po sprzęcie służącym do katowania ludzi, potem patrzą po sobie nawzajem i kręcą przecząco głowami.

W efekcie nie mija chwila, a ciągle uzbrojeni kroczą oni wprost ku mnie. Ja zaś czuję na gardle coraz silniej wrzynający się w nie nóż, już dosłownie rozcinający mi skórę! Oni jednak się nie zatrzymują! Gdy raptem zimna stal opuszcza me gardło i z brzdękiem upada na kamienny parkiet, podobnie pod moje stopy pada kat.

Kompletnie zaskoczona patrzę na mego niedoszłego oprawcę i naraz zauważam w jego karku tkwiący bełt. Czynię gwałtowny piruet i dosłownie braknie mi tchu. Oto za oknem unosi się na... latającym dywanie Gabu z Adorą, która trzyma w dłoniach kuszę.

– Witajcie! – Macha do nas pociesznie tłuścioch, zupełnie jakbyśmy znajdowali się na rodzinnym przyjęciu. Osobiście mam ochotę zgiąć swe kolana w podzięce, ale tylko pojękuję słabym głosem do szybującego Gabu:

– Jesteś... jakimś Bogiem...? – Ogniskuję wzrok na jego wielce nietypowym środku transportu. Mój wybawca chwyta za frędzel latającego dywanu i już zamierza coś odpowiedzieć, gdy zza moich pleców gniewnie przemawia do niego Viria:

– Miałeś się nie popisywać przed miejscowymi! Teraz pewnie wezmą cię za prawdziwego czarownika i przetopią twoją tuszę na łój w nadziei uzyskania zdrowotnych eliksirów!

– Kiedy... kolana... – odpowiada zafrapowany Gabu, wskazując na swe monstrualne dolne kończyny. – Naprawdę nie mogę już chodzić...

– Ech... – Viria macha niedbale ręką, zupełnie jakby mówiła do niesforne go dziecka, a nie człowieka, który współ z partnerką właśnie ratuje mi życie. Ja sam, ochłonawszy nieco, zwracam się w nadziei do osoby, która musi być czarownikiem lub Bogiem:

– Czy... możesz przywieźć tu więcej naszych żołnierzy? Obawiam się, że jest nas za mało, abyśmy zdobyli twierdzę od środka... – Raptem wewnątrz warowni rozlegają się donośne odgłosy trąbki na alarm, a wtedy w trosce o swe życie szybko koryguję uprzednią prośbę, w pośpiechu oznajmiając: – Zabierz nas. Po prostu nas stąd zabierz!

– Kiedy to dywan co najwyżej pięcioosobowy. Zaś ja z Adorą, cóż powiedzieć, zajmujemy w sumie cztery miejsca... – Gabu rozkłada bezradnie wielkie ramiona. Z kolei ja sama staję przed ważką decyzją i tym razem już nie pozwalam, aby dyktował mi ją strach.

– Zatem weźcie jednego z nas, tego, który jest ranny. – Pokazuję na dotkliwie pogryzionego przez psy mężczyznę z Orienum.

Wkrótce Gabu z Adorą i naszym rannym żołnierzem odlatują na latającym dywanie, co jest zaiste niezwykłym widokiem. Natomiast moi

pozostali kompani szukają sobie najlepszej broni do odpierania spodziewanego ataku. Także i ja spośród niezliczonych narzędzi służących do zadawania tortur dobieram sobie dwa zakrzywione ostrza najbardziej przypominające sierpy i staję z nimi w gotowości.

I rzeczywiście. Nie mija wiele czasu, a zaalarmowani strażnicy zjawiają się u wejścia do komnaty, a z każdą chwilą jest ich więcej. Przez to, zamiast szarżować straceńczo naprzód, razem z kompanami się cofam aż do okna, czyniąc to w złudnej nadziei, że Gabu zdąży po nas wrócić. Lecz wtem przed szereg kilkunastu strażników występuje taka sama ich ilość i z przykłęku celują do nas z rusznic. W tym momencie jest już oczywiste, że nie uciekniemy.

Pierwsza poddaje się Viria, odrzucając na parkiet dwa toporki. Następnie broń składa Ravel, pozbywając się tasaka oraz kolczastej buławy. Jednak ja sama kiedyś już sobie przyrzekam, że koniec z poddawaniem się. Dlatego staję przodem do okna i decyduję się wyskoczyć. Tak, to jedyna prawdziwa szansa, jaką widzę na ocalenie, a jest nią łapiący mnie w locie Gabu.

Jednakże naraz, już z samego okna, dostrzegam daleko na ziemi zmięty dywan czarownika. Koło niego zaś czołgających się ku zaroślom właśnie Gabu oraz Adorę. Ponadto widzę na trawie przeszytego strzałami żołnierza z Orienum.

A więc to koniec, to koniec... – myślę tak i ponownie staję plecami do okna. Rozpościeram wciąż uzbrojone ramiona, przyjmując znak krzyża i pomimo wszystko zamierzam runąć w przepaść, aby nie dać się pochwycić żywcem i torturować przez piekielnego Otta z płonącymi oczyma.

Jednakże coś mnie powstrzymuje. A jest to myśl o mym dziecku, Nelorum, i to, że tracąc życie, opuszczę go bezpowrotnie. Ta myśl zdaje się mnie wręcz przytrzymywać, niczym za rękę i nie pozwala mi wykonać skoku.

Gdy wtem do pomieszczenia wchodzi jeszcze jeden strażnik w szarym mundurze. Ale ten, zamiast broni, trzyma w dłoniach wielobarwnego gołębia. Mężczyzna występuje przed zbrojny szereg i demonstrując wszystkim ptaka, zdumiony przemawia:

– Gołąb miał przypiętą wiadomość o... odrodzonym Nelorum... Podobne wieści docierają ponoć do innych placówek. Czy... czy to

prawda...?

Nagle wzrok żołnierzy w szarych płaszczach, a pochodzących zapewne w większości z grona dawnych, białych przybyszy skupiony jest na mnie. Ja sama naraz dostrzegam szansę na odmianę tragicznego losu, przez to klękam i z prawdziwym oddaniem oświadczam:

– Padają tu słowa prawdy. Mowa jest o moim synu ze znamieniem księżycy na skroni. I możecie być świadkiem tego, jak za jego sprawą zgodnie z przepowiednią najeźdźcy opuszczają nasze zniewolone ziemie. Albo też możecie przyczynić się do zagłady obecnej matki Nelorum, czyli mnie samej. – Uderzam się pięścią w pierś i ze zgrozą w głosie dodaję: – A wtedy gniew świętego Nelorum obróci się także przeciw wam i nie zaznacie litości...

Po tej deklaracji żołnierze osłupiali patrzą po sobie nawzajem. Aż jeden z szeregu piechurów wychodzi naprzód i rozkładając dramatycznie ramiona, chrypi wzburzony do swoich kamratów:

– Nie dajcie się zwieść, moi nowi bracia, kłamliwym słowom obecnej tu ciemnej diablicy! Wszak kolor jej skóry jednoznacznie świadczy o tym, że światłość naszego Jedyne Boga do niej nie dociera, nie rozświetlając mroku duszy i dlatego raczy nas ona plugastwem. Lecz wy, moi mili, słyszeliście już o najwyższym Bogu Jedności, przeto wyłącznie jemu winni jesteście należny pokłon i posłuszeństwo. A żadnym tam upadłym, pradawnym Bożkom! – Wraz z ostatnim słowem żołnierz okręca się ku mnie i z impetem rzuca sztyletem w mą pierś. Zasłaniam się podniesioną z podłogi blaszaną tacą i rozlega się głośny brzdęk metalu o metal. A kiedy zdejmuję sprzed oczu zasłonę, widzę szarżującego na mnie żołnierza z szablą w dłoni i prawdziwą nienawiścią wypisaną na twarzy. Jednak tuż przede mną drogę zatarasowują mu Viria oraz Ravel. Chwytają go wspólnie za materiał munduru, po czym oszołomionego wyrzucają zamaszystym ruchem rzez okno.

– To za... Nelorum... – oznajmia, jakby od niechcenia Viria, spoglądając w ślad za wyrzuconym przez okno mężczyzną.

– Właśnie, za Nelorum, kto następny...? – podchwytuje z demonicznym uśmiechem na ustach Ravel. W odpowiedzi nie mija wiele czasu, a

żołnierze w szarych mundurach, mimo, że mogliby nas z łatwością pokonać, składają na podłodze broń i oddają mi czołobitny pokłon.

Więc wygrywamy, jednak wygrywamy! – Naraz uskrzydłona tą myślą sama nie mogę wręcz dać wiary w to, jak wielkim autorytetem cieszy się Nelorum na całym swym kontynencie. Aczkolwiek może legenda o nim jest po prostu ucieleśnieniem wszystkich najszczerzych, ukrytych pragnień, dawnych, białych przybyszy? Myśli o wolności i pokoju oraz prawu do oddawania czci własnym Bogom.

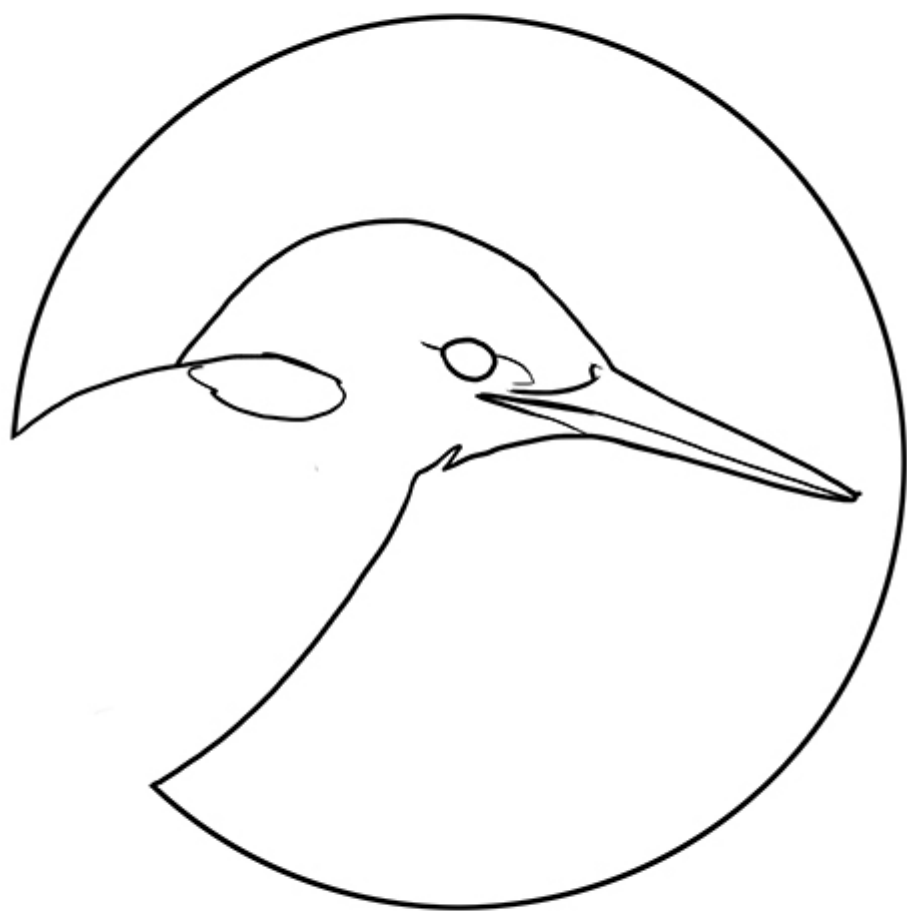
Chyba tak właśnie się sprawy mają. Ale w tej chwili najważniejsze jest dla mnie to, że forteca Tudar zostaje niemal bezkruwawo przejęta. Natomiast w tutejszych magazynach odnajdujemy znaczące zapasy nowej broni – muszkietów – również wystarczającą ilość amunicji. Zatem nie zatrzymamy się tu zbyt długo, tylko czym prędzej wznowimy nasz zwyczajny pochód przez serce kontynentu Nelorum. Aż wreszcie dotrzemy do Nowego Akros, aby ostatecznie rozstrzygnąć los tych uciskanych ziem.

Jednakże wcześniej, nim wyruszymy, odwiedzam jeszcze okaleczoną kobietę, tą samą, którą widziałam w sali tortur. Na ten czas jest ona odkuta od ściany, ale bynajmniej nie opatrzona. Posiadane przez nią ubytki na ciele od ognia i rany są bowiem tak znaczące, że jej istnienie nieuchronnie czeka kres i jest teraz tylko jednym, wielkim cierpieniem. Również samo spoglądanie na nią, gdzie spalone ciało nie przypomina człowieczego wyglądu, sprawia czysty ból.

Kiedy spoczywa na plecach, widzę, że cały czas porusza spalonymi ustami, jak w transie. Wydaje się, że chce ona coś powiedzieć. Przykładam więc ucho do poczerńiałych warg, a wówczas wyławiam ledwo słyszalny żałobny szept. Padają słowa o zabitym, ukochanym synu, przeklętej Anrei oraz imię Vigun, a także zapowiedź jakiejś straszliwej śmierci, która niczym pożar ogarnie cały kontynent.

Lecz samą śmierć na tę biedaczkę, którą okazuje się Oslund, zsyłam właśnie ja. Mym sierpem rozcinam jej gardło, by skrócić męki. Zaś zgon tej kobiety, jak i cierpienie za życia, biorę na siebie. Tak, jest we mnie pierwiastek przekleństwa, mam tego świadomość, że wszędzie, gdzie się pojawię towarzyszy mi śmierć oraz zniszczenie. Wszak taki najwidoczniej

już mój los, jak wspominał mędrzec Mitrea i przez to nie ma już we mnie poczucia winy.



V. OGIEŃ BITWY

Po moim szczęśliwym powrocie do sojuszniczej armii okazuje się, że z całego kontynentu w nasze szeregi napływa wręcz niewyobrażalna ilość rekrutów. Niemal każdy pragnie być bowiem świadkiem i uczestnikiem tego, jak za sprawą mego świętego dziecka, Nelorum, pokonujemy dumne i dotąd prawie niezwyciężone dominium Akros. Jednakże nie wszystko w obozie sprzymierzonych przebiega gładko i spokojnie, jest wręcz przeciwnie.

Przed moje oblicze, czyli głównodowodzącej, doprowadzony zostaje cały tabun ludzi, naszych żołnierzy, oskarżanych o liczne przewinienia. Ponoć część moich ciemnoskórych pobratymców dokonuje licznych gwałtów na kobietach z Viglum i są na to świadkowie. Z kolei wśród dawnych białych przybyszy odbywają się samosądy na ciemnoskórych, oskarżonych osobach. Słyszę także o wszczynanych bójkach, kradzieżach, a nawet morderstwach i co raz wybuchających waśniach, choćby o lepsze miejsce podczas postojów, czy pierwszeństwo do wody oraz prowiantu.

Co znamienne z każdym dniem, kiedy jest nas więcej i więcej, coraz trudniej przychodzi mi zapanować nad rozwydrzonym tłumem, w którym prawie nie ma pokory, a jego przedstawiciele już czują się zwycięzcami grabiącymi wyśnione bogactwa Nowego Akros. Z tego powodu z bólem serca, ale szybko wprowadzam rządy twardej ręki, niemal tyrani. Jednak żeby zachować możliwą dyscyplinę, nie widzę innego sposobu.

Niestety w toku kampanii wojennej nie mam czasu na poddawanie poszczególnych osób pod sąd i orzekania o winie czy niewinności. Dlatego w pierwszym rządzie tworzę dwa oddziały karne, gdzie umieszczam oskarżonych o poważniejsze przestępstwa żołnierzy. Zaś wymienione oddziały segreguję na podstawie koloru skóry, aby w ich łonie ograniczyć skalę dalszych wykroczeń. I obie te nowo sformowane jednostki ruszą w przysłej bitwie do ataku jako pierwsze. Taką podejmuję arbitralną decyzję.

Ocaleją zapewne bardzo nieliczni, a według mych wielce przewrotnych słów, ci, którzy będą niewinni. Okrutne? Jak najbardziej. Choć nie dla tych, którzy rzeczywiście zawinili i którym należy się wymierzenie stosownej kary.

Ponadto staram się, aby ochotnicy z poszczególnych nacji byli jedynie pod komendą dowódców ze swych krain. W ten sposób świadomie umacniam między nami już istniejące podziały. Lecz tylko to skutkuje tym, że skala przestępstw w wojsku zostaje zmniejszona. Natomiast konsekwencje zbrodni, do których ciągle dochodzi, są rozstrzygane głównie w ramach ludzi z danej krainy. To w pewnym zakresie zmniejsza napięcia pomiędzy różnymi nacjami.

Z kolei z powodu zaistniałych trudności w dowodzeniu nieprzebraną masą różnorodnych osób nawet z pewną ulgą przyjmuję nadchodzące wieści. Mianowicie do Nowego Akros przyływa dziesięć tysięcy żołnierzy w szarych płaszczach i wraz z dwudziestoma tysiącami już stacjonujących tu wojaków wiernych dominium cała armia Akros rusza naprzeciw nam, by stoczyć bitwę. Tak więc za przeciwników będziemy mieli trzydzieści tysięcy ludzi. Podczas gdy nasza armia, która rozrasta się do niewyobrażalnych rozmiarów i którą doprawdy trudno już zliczyć, szczyci się obecnie liczebnością dobrze ponad stu tysięcy wojowników. Zatem wydaje się, że tylko cud może sprawić, iż nie wykorzystamy naszej liczebnej przewagi. Ponieważ tym razem mamy w swoich szeregach licznych mężczyzn, do niedawna żołnierzy dominium, dobrze zaznajomionych z bronią palną i w nią częściowo wyposażonych. Osobiście tworzę również elitarny oddział wyposażony w zdobyte muszkiety. W skład tego oddziału wchodzi jedynie moi pobratymcy, czym wzbudzam powszechne oburzenie wśród dawnych, białych przybysz. Coraz częściej przychodzą też oni w okolice mego namiotu, aby pozwolono im na własne oczy zobaczyć me dziecko, Nelorum. Albowiem w obozie sprzymierzonych trwają coraz gorętsze dyskusje i spory o to, jaki mój syn ma kolor skóry. Bowiem powszechnie wiadomo, że jego ojcem jest Muran, mieszaniec.

Początkowo me dziecko trzymam możliwie z daleka od wścibskich oczu, jako matka, starając się w naturalny sposób je chronić. Jednak to tylko potęguje spekulacje na jego temat. Zatem w końcu ulegam i pozwalam każdemu chętnemu spojrzeć na mego syna, choć nawet nie ma

mowy o dotykaniu. Zaś budząca takie zainteresowanie skóra Nelorum nie jest ani jasna, ani też ciemna, jest taka pośrodku.

Niestety zauważam, że w mym dziecięciu tylko jego barwa interesuje gapiów. Już nawet nie znamię w kształcie księżyca na skroni. Ponadto moi ciemnoskórzy pobratymcy ogłaszają wszem i wobec, że święty Nelorum jest w połowie ciemny. Natomiast biali przybysze stają twardo na stanowisku, iż jest w połowie biały. To czysta gra słów, ale nagle mająca dla większości kluczowe znaczenie.

I wszystko mi podpowiada, że całe to zamieszanie wokół mego syna i ogólnie różnic między naszym wyglądem nie rozejdzie się tak po prostu po kościach i nie skończy dobrze. Ale odsuwam od siebie tę niepokojącą myśl i podpowiadam, że najważniejsza jest nadchodząca bitwa i jej wygrana. Potem natomiast, kiedy bezsprzecznie wygramy, wszystko się jakoś ułoży, bo musi. Spełni się bowiem proroctwo naszego kontynentu i nie pozostanie nam nic innego, jak po wygnaniu najeźdźców rozejść się do swych krain, by żyć w nich w dobrobycie oraz pokoju ku czci swych najbliższych Bogów.

Czy jestem naiwna? Przypominam sobie słowa Otta traktujące o tym, że dzielę po to, by łączyć, i łączę, by dzielić. Słowem miotam się w swym przekleństwie, w ostateczności nie sprowadzając na świat niczego dobrego. Lecz obecnie nie chcę o tym myśleć, nie po tym wszystkim, co się do tej pory wydarza i co z takim trudem osiągam. Teraz jedyne, czego pragnę, to wygrać, a decydująca bitwa właśnie nadciąga.

*

Zasiadam na niewielkim, pokrytym zielenią wzniesieniu i obserwuję w zadumie lecącego zimorodka. Ten wielobarwny, trochę niepozorny ptak jest symbolem Nelorum, ponieważ można go spotkać praktycznie na całym kontynencie od jego najcieplejszych do tych najchłodniejszych miejsc. Wszak warunkiem jest dostępność w rejonie życiodajnej wody. Ptak ten jest więc wszędobyłski niczym idea wolności jednocząca cały ten kontynent, wszystkich żyjących tu od wieków ludzi. Jednakże pomiędzy tą piękną ideą jest już jak wbity cień zarzewie dalszych podziałów, konfliktów – myśląc tak, przenoszę wzrok na ziemię, gdzie dostrzegam między trawą wijącego

się węża polującego skrycie na swe ofiary. Aż raptem dochodzi mnie zza pleców zdecydowany i lekceważący zarazem głos Viri:

– Bitwa się rozpoczyna. I rychło w czas, moja ty Bogini, królowo, bo coś ci się ten twój sojusz rozłązi w szwach. Zresztą, co ja mówię... – Jednooka kobieta robi krótką pauzę, po czym gromko wypala: – Tu jest dosłownie gorzej niż na Pendorum! Wszyscy tutaj ze wszystkimi mają ochotę krzyżować oręż!

– Jedziemy – ucinam dyskusję, zanim się na dobre rozpocznie i dosiadam białego rumaka. Następnie w towarzystwie Viri ruszam galopem na pobliskie wzniesienie, skąd mam zamiar obserwować walkę. Wobec zdecydowanych ruchów nieprzyjaciela wszystkie niezbędne rozkazy mojemu wojsku wydaję już z samego rana.

Dochodzę do wniosku, że aby wygrać bitwę, mając tak dużą przewagę liczebną, po prostu muszę ją wykorzystać i nie popełnić niepotrzebnych błędów – zanadto nie szarżować. W związku z tym dzielę moją główną armię na siedem części, każda po kilkanaście tysięcy żołnierzy. Dwa zgrupowania ustawione na flankach składają się wyłącznie z moich ciemnoskórych pobratymców. Natomiast pozostałe pięć części z białymi żołnierzami z poszczególnych krain umieszczam koło siebie w centrum. Ponadto dwa karne oddziały wysuwam do przodu, aby skupiły na sobie impet przeciwnika. Z kolei w odwodzie trzymam ponad dwieście słońi bojowych oraz tysiąc muszkieterów – mą osobistą gwardię.

Tymczasem na skąpo porośnięty drzewami, nieco pagórkowaty teren nadciągają już zapowiedziane mi wojska wroga w szarych mundurach. Dzięki wręczonemu mi przez Gabu przyrządowi zwanemu lunetą, wyraźnie dostrzegam, że dominium stosuje swą tradycyjną taktykę, krocząc ku nas w zwartych dziesięciu szeregach. Lecz nieoczekiwanie wrogie wojska zatrzymują się w znaczącej odległości od naszych pozycji. I jestem przekonana, że dystans jest do tego stopnia duży, że nawet kule wystrzelone z nowocześniejszej broni palnej nie dosięgną szeregów sojuszu.

Obserwuję więc podejrzliwie poczynania wroga, zastanawiając się, co zamierza. Ten zaś przed szereg swej armii wyciąga niezwykle masywne, owalne przedmioty. Każdy na parze kół. Krzątają się przy nich żołnierze, a potem wycelowują ku nam jakby gigantyczne lufy. I wtem z linii wojsk

dominium dobywa się złowrogi huk, któremu towarzyszy ogień oraz eksplozje w naszych szeregach!

Gwałtowność tego ataku jest do tego stopnia intensywna, że mój rumak niemal zrzuca mnie z siodła, stając na moment dęba. Następnie wstrząśnięta chowam lunetę i już za sprawą jedynie własnego wzroku patrzę, jak wojska sojuszu dosięgają kolejne niszczycielskie salwy z nieznannej mi broni, siejąc prawdzie spustoszenie. Krwawym wykwitom ognia i gęstym wybuchom nie ma wręcz końca i nawet nie chcę myśleć, ile przynoszą one ofiar!

Doprawdy w obliczu takich nieprzewidzianych okoliczności nie wiem, co czynić. Lecz coś muszę rozkazać i to natychmiast, aby nie dopuścić do całkowitego pogromu i to praktycznie bez walki z naszej strony! Dlatego nachyliłam się nad rozdygotanymi ze strachu adiutantami i w pośpiechu wydaję rozkazy:

– Do ataku... Do ataku! Wszystkie wysunięte oddziały muszą natychmiast zaatakować! Musimy skrócić dystans do walki wręcz!

Adiutanci przekazują stosowne polecenia ludziom z wielobarwnymi sztandarami i ci łopoczą zamasyście flagami, dając odpowiednie sygnały dowódcom poszczególnych jednostek. Z kolei czas mija, a wraz z jego nieubłaganym upływem w szeregi mych atakowanych żołnierzy zakrada się coraz więcej śmierci i strachu.

Aż wreszcie sojusznicza armia wykonuje pierwsze ruchy. Jednakże ze zgrozą dostrzegam, że te są kompletnie nieskoordynowane! Wysunięte do przodu oddziały skazańców już dawno pierzchają z pola walki. Obecnie zaś moi pobratymcy na flankach ruszają mocno do przodu. Ale pozostałe pięć oddziałów w centrum bynajmniej nie dotrzymuje im kroku. Dwa z nich postępują powoli naprzód, dwa pozostają w miejscu, a jeden, o zgrozo, się cofa! W odpowiedzi wróg kieruje zarówno ogień nowej broni, jak i muszkietów na zbliżających się mych pobratymców, po czym ich dosłownie masakruje!

Niestety w moich wysuniętych liniach tylko pierwszy szereg posiada broń palną, a do tego są to rusznice wobec skuteczniejszych muszkietów dominium. Dlatego dostrzegam, że pochód mych pobratymców zostaje skutecznie powstrzymany i ruszają oni do odwrotu.

Na czoło wysuwają się obecnie nasze wojska z centrum, a mianowicie z krain Romulum oraz Aglum. Ich przedstawiciele oddają jednak zaledwie jedną salwę z rusznic. I na nich z kolei sypią się eksplodujące pociski, jak i salwy z muszkietów.

Oglądam tę rzeź, którą coraz trudniej nazwać bitwą, doprawdy coraz bardziej zrezygnowana. Jednocześnie spoglądam kątem oka na zaniepokojone słonie bojowe w odwodzie i nie mniej spanikowaną mą gwardię. Słowo odwrót wręcz ciśnie mi się na usta i wiem, że muszę je wydać, bo inaczej wykrwawię tu całą naszą armię na śmierć! Jednakże raptem czuje się, jakby odjęło mi mowę i wciąż zwlekam, szukając desperacko wyjścia z tragicznej sytuacji. Aż raptem Ravel spina przy mnie rumaka i w pośpiechu z siebie wyrzuca:

– Kawaleria wroga! Kawaleria uderza niespodziewanie na tyły!

– Gdzie na tyły?! – wstrząśnięta wieściami, które są niczym gwóźdź do trumny dla obecnej sytuacji, rozglądam się już wręcz w panice po zapleczu pola walki. Na co skośnooki mężczyzna uściśla:

– Zaatakowali daleko na tyłach! Konkretnie nasz obóz!

– Nelorum... – Z mej piersi z trudem dobywam trwożny szept. Bowiem okazuje się, że gdzie indziej rozgrywa się inna bitwa, której stawka jest dla mnie równie duża, jak tutaj. Dlatego wbijam wzrok w siedzącego koło mnie na rumaku generała Sakkana i pospiesznie do niego mówię: – Przejmujesz dowodzenie! Zarządź odwrót, ale w możliwie zorganizowanym szyku! Nie daj dominium nas całkiem rozgromić! – Ostatnie słowa wypowiadam, rzucając je już za swe plecy i pochylona nisko na wierzchowcu gnam jak oszalała z powrotem do naszego obozu. Po drodze dołączają do mnie Ravel oraz Viria. Ja natomiast uzmysławiam sobie, że wróg znowu jest górą, uderzając w najczulsze punkty i czyniąc to z prawdziwą perfekcją.

Nie czas jednak na analizę kolejnej rysującej się przed nami porażki. Obecnie muszę uczynić wszystko, aby nie stała się ona ostateczną klęską. A będzie nią, jeżeli coś złego stanie się memu synowi! To on bowiem jest duchem naszej walki i symbolem przyszłego zwycięstwa. Przez to za nic nie może się dostać w ręce wroga!

Wyjmuję zza pasa sierp i wpadam na pełnym galopie pomiędzy namioty na skraju naszego obozu. Mijam liczne trupy w bordowych uniformach i

nieliczne w szarych. Aż docieram do centrum obozowiska, gdzie wokół granatowych namiotów trwa zażarta bitwa.

Zanim mój rumak wytraci impet, uzbrajam się w drugi sierp. Rozpościeram długie ramiona i z dwóch stron mego wierzchowca rozcinam karki stojących do mnie tyłem wrogów. Kolejni odwracają się przodem, a wówczas rozkrajam im z impetem gardła!

Dosiadany przeze mnie koń coraz bardziej zwalnia, aż zderza się z przemieszaną grupą walczących i zostaje gwałtownie wysadzona z siodła. Spadam na głowy i ramiona żołnierzy, a zaraz jestem już pomiędzy nimi. I w nieokiełznanej furii, myśląc wyłącznie o Nelorum, nie do końca kontroluję to, czy atakując, zadaję śmiertelne rany wrogom czy sojusznikom. Nagle wstępuje bowiem we mnie prawdziwy duch zniszczenia i aby ocalić swe dziecko, jestem gotowa wręcz wszystkich wokół pozabijać!

Szybko robi się koło mnie więcej przestrzeni, a ziemię przy moich stopach gęsto zaściela góra trupów z szablami w dłoniach i w szarych mundurach, choć teraz już upstrzonych czerwienią. Sama porywam się w kierunku mego granatowego namiotu.

Gdzieś w ogniu walki dostrzegam po drodze walczącą Virię, chyba także Ravela. Ale wiem, że na ten krytyczny czas muszę liczyć przede wszystkim na siebie. To ja pozostawiam tu własne dziecko i to ja muszę je uratować!

U wejścia do mego namiotu niespodziewany cios szablą skrytego wewnątrz wroga rozcina mi klatkę piersiową. Zraniona gwałtownie uskakuję do tyłu, ale przeciwnik dalej atakuje, a za plecami ma jeszcze piątkę szykujących się do walki kamratów, zupełnie jakby tu na mnie czekali. Zaskoczona zasadzką potykam się o trupa pod nogami i przewracam na plecy. Widzę nad sobą sześć wzniesionych, zakrzywionych ostrzy i ludzi w szarych mundurach gotowych mnie zasiekać. Odruchowo zasłaniam się sierpami, krzyżując dłonie, choć przecież wiem, że nic to nie da!

Naraz tuż za mną dobywa się seria głośnych wystrzałów, a zaraz kolejne. Uświadamiam sobie, że z wrażenia zamykam na moment oczy. A kiedy je otwieram, pada na mnie cała góra mych niedoszłych oprawców z szablami.

Za chwilę tuż koło mnie jest Ravel oraz Viria i pomagają mi się wygrzebać spod zwalów dogorywających ludzi z ranami postrzałowymi. Zauważam, jak jednooka kobieta, po postawieniu mnie do pionu, dmucha na lufę swej niezwyklej broni, którą nazywa rewolwerem. Kolejny egzemplarz ma w drugiej ręce i właśnie strzela z niego prawie od niechcenia, eliminując u wejścia do namiotu następnych przeciwników. Padają zastrzeleni na ziemię, a ja biegnę do wnętrza, gdzie pozostawiam przed bitwą Nelorum.

Tuż za progiem staję, jak wryta i z trudem przetykam ślinę. Za plecami wciąż słyszę wojenną wrzawę i wystrzały z broni palnej. Natomiast z przodu mam przed sobą nieznaną mi parę osób, mężczyznę oraz kobietę. Stoją oni nad kołyską i spoglądając na mnie, wspólnie trzymają Nelorum.

Sama rozpościeram szeroko ramiona uzbrojone w sierpy, ale czynię to w geście pokoju, odchylając daleko do tyłu ostrza i zwieszając je ku dołowi. Z kolei para naprzeciw ciągle stoi w miejscu, jak sparaliżowana. Widać, że zaskoczona jest widokiem mnie żywej, a jedynie rannej w klatkę piersiową.

W tym czasie bitewne odgłosy w obozie zaczynają słabnąć, aż niebawem całkiem milkną. Nastaje grobowa cisza, która niesie ze sobą decydujący moment dla obecnej sytuacji. Kto bowiem zwycięża w obozie, zapewne dane mu będzie być górą i tutaj.

Naraz tuż koło mnie staje uzbrojona w rewolwery Viria oraz Ravel z tasakiem, a także niespodziewanie generał Sakkan. Stąd domyślam się, że zamiast prowadzić zorganizowany odwrót, mój wierny generał podąża za mną, przyprowadzając tu moją gwardię i ostatecznie przechyla szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Wobec takich okoliczności spoglądam z pewnym triumfem w oczy obcej pary trzymającej Nelorum i z całą siłą w głosie, na jaką mnie stać, przemawiam:

– Zostawcie dziecko... To wasza jedyna szansa, aby przeżyć. Zostawcie je, a poprzysięgam, iż puszcze was wolno i nie będę szukać pomsty, wybaczę... – Para spogląda po sobie, ale nie reaguje. W odpowiedzi nie daję już rady dłużej utrzymać na wodzy emocji, tylko wybucham! – Zostawcie dziecię i zejdźcie mi z oczu precz, na zawsze, albo zgotuję wam takie piekło tortur, jakiego nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, a już na

pewno wytrzymać! Ocalcie więc życie lub będziecie skamleć o śmierć, która nie nadejdzie, a w jej miejsce dosięgnie was swąd waszych palonych ciał, wypruwane flaki i krew z wyłupionych oczów czy wyrwanego języka. Tego doświadczycie. A wiedźcie, że będzie to dopiero początek waszego koszmaru, który ziszczę!

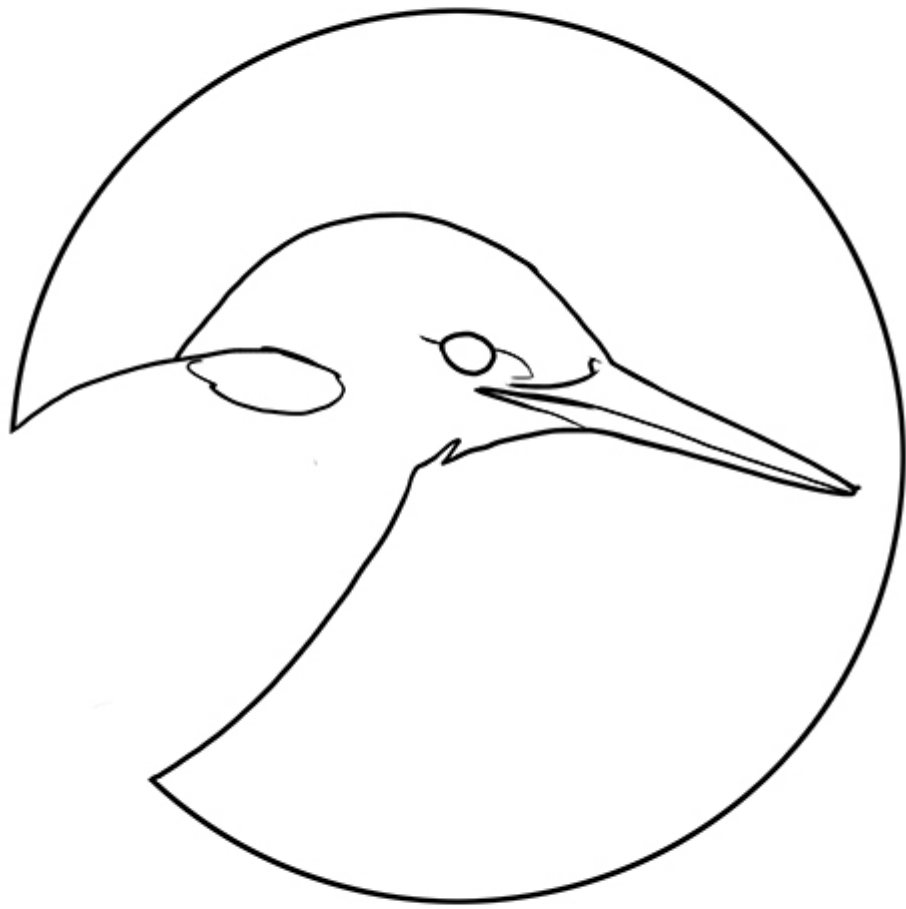
Tym razem para z dzieckiem opuszcza bezradnie głowy. Widać, że walczą ze sobą, ale przegrywają potyczkę z nagłym atakiem strachu, który po mych słowach niczym tsunami zalewa ich serca. Dlatego wspólnie odkładają niemowlę do kołyski, po czym przygarbieni starają się czym prędzej mnie wyminąć i wyjść z namiotu. Osobiście na odchodne do nich posyknę:

– Przekażcie Otto Pierwszemu, że to nie koniec... Może on wygrać niezliczoną ilość bitew, ale racja jest po mojej stronie i to ja mam na te ziemi, mojej ziemi, Nelorum. Dlatego to ja wygram wojnę...

Zaraz pozostaję już jedynie w towarzystwie mych kompanów oraz dziecka, które chwytam w ramiona i przytulam mocno do silnie krwawiącej piersi. Tak, nieopodal właśnie przegrywam wielką bitwę, giną tam tysiące mych braci i sojuszników. Ale też coś wielkiego wygrywam, chociaż ratuję tylko jedno istnienie. Wszak udaje mi się ocalić me własne dziecko, a jednocześnie niegasnącą nadzieję dla całego kontynentu Nelorum. Całuję chłopczyka z uczuciem w czoło, a równocześnie dochodzi do mnie lekceważący głos Viri:

– Pojadę za tą zalęknioną parką niedoszłych porywaczy. Tak się składa, że mam jeszcze dwie kule, akurat się nadadzą...

– Nie – odpowiadam zdecydowanie. – Dałam im słowo. Poza tym już nam nie zagrażają i chcę, aby osobiście powiadomili o fiasku swej misji Otta. Niech dotrze do niego, że mimo protekcji jego Jedynego Boga nie zawsze wygrywa i zacznie się już do tego przyzwyczajać...



VI. CZARNA WDOWA

Niedługi czas po starciu nazwanym bitwą spalającego ognia przystępuję z generałem Sakkanem do szacowania strat. Te są zaiste ogromne. Zostajemy odrzuceni daleko na wschód, a ściślej mówiąc, uciekamy. W walce ginie bądź zostaje przerażająco okaleczonych w sumie ponad czterdzieści tysięcy naszych żołnierzy. Taka sama liczba w ostatnim czasie opuszcza nasze szeregi i rozgoryczona porażką rozchodzi się do swych domostw. Tak oto pozostają nam tylko cztery dziesiątki tysięcy wojowników, głównie mych ciemnoskórych pobratymców. Lecz przede wszystkim morale armii jest bardzo niskie po klęsce i wydaje mi się, że żołnierze chęć dalszej walki deklarują już tylko z powodu mego syna, Nelorum. To w niego wierzą, moim zadaniem jest zaś podtrzymać tę wiarę. Aczkolwiek nie mogę dawać ludziom płonnej nadziei. Muszę przedstawić im realny plan, jak zwyciężyć.

Jednak gorącym pytaniem pozostaje, jak walczyć z wrogiem, który przewyższa nas pod każdym możliwym względem? Teraz dodatkowo niwelując nawet naszą przewagę liczebną, bowiem straty dominium po bitwie są znikome. Przeciwnik posiada za to na wyposażeniu nowoczesne muszkiety i coś, co czarownik Gabu nazywa armatami, doprawdy straszliwą broń. Ponadto po stronie dominium jest również wyszkolenie żołnierzy, kadry oficerskiej, a także dyscyplina czy skuteczna taktyka oraz strategia.

Z tych względów generał Sakkan nakłania mnie, abym ponownie zaszyła się w twierdzy Manakisz. Jednakże ja, w dużej mierze za namową Gabu, odmawiam. Ponieważ czarownik sugeruje, że długi ostrzał z armat skruszy najtwardsze nawet mury. Poza tym jest to ostatni zryw na kontynencie Nelorum, gdzie prowadzimy z wrogiem otwartą walkę. Zdaję sobie sprawę, że jeżeli teraz całkiem przejdziemy do defensywy, to ostatecznie stracimy serca naszych ludzi i na prawdziwe pole bitwy nie będzie już powrotu,

dominium Akros ostatecznie, bezapelacyjnie zwycięży. Zajmie cały kontynent Nelorum i definitywnie pokona mnie, Anreę, Ostatnią z Walczących.

W takich okolicznościach, sumując wszelkie za i przeciw, decyduję się postawić wszystko na szali, mianowicie wydać wrogowi kolejną bitwę. Lecz obecnie zamierzam skutecznie wykorzystać ukształtowanie terenu. Przede wszystkim zaś użyć ponownie słoni bojowych, naszej ostatniej szansy.

Jako miejsce potyczki wybieram terytorium leżące już na ziemiach Królestwa Czarnego Piasku. To zakole wartko płynącej rzeki, której brzeg przystosowuję do silnej obrony. Każę usypać tam kilka pierścieni wałów, które mają dawać możliwą ochronę przed ostrzałem z armat. Natomiast jeżeli wróg będzie chciał nas podejść frontalnie piechotą, to będzie musiał pokonać wpław rzekę. Za nią z kolei nadzieje się w okopach na naszych żołnierzy zaopatrzonych w muszkiety, rusznice oraz łuki i strzały. Oczywiście w takich okolicznościach zapewne zechce on obejść nasze umocnienia. Ale wówczas wyjdzie na otwartą przestrzeń pomiędzy dżunglą, gdzie w ukryciu będę trzymać gotowe do szarży słonie bojowe, największy atut naszej armii.

Tym sposobem, co do nadchodzącej potyczki jestem całkiem dobrej myśli. Możliwe bowiem, że nie wygramy przyszłego starcia, za to szczerze liczę, że damy wrogowi krwawy odpór. To zaś powinno wystarczyć, aby zwiększyć morale żołnierzy i znowu spowodować napływ ochotników w nasze szeregi. A wówczas kto wie? Być może to my będziemy dalej dyktować warunki i naprawdę w końcu rozprawimy się ze śmiertelnym wrogiem?

Tymczasem zasiadam z Nelorum w mym granatowym namiocie i właśnie oddaję dziecę karmiącej, ciemnoskórej mamce z niezwykle obfitym biustem. Niestety od początku narodzin syna mam niewystarczającą ilość własnego pokarmu. Teraz ponadto poważnie zranione od szabli piersi, na których zostaną wyraźne blizny. Choć ta ostatnia rzecz jest moim najmniejszym zmartwieniem, a blizn na swym ciele czy wybitych zębów już praktycznie nie liczę.

W mym namiocie zjawia się jednak też niezapowiedziany gość, który pod względem szram i ubytków ciała jeszcze mnie przewyższa. To Viria z buklakiem w dłoni, która bardzo chwali sobie tutejsze wino i prawie się z nim nie rozstaje, podobnie jak obecnie z Ravelem, swym partnerem, do którego powraca. Lecz na ten czas jednooka kobieta przychodzi do mnie sama. Zasiada naprzeciw mnie na macie w analogicznej pozycji, jak ja, to jest ze skrzyżowanymi nogami. Spogląda dłuższy czas na karmionego przez mamkę Nelorum, aż ni stąd ni zowąd, wypala:

– W sumie to chyba sama mogłabym ci wykarmić dzieciaka. Mam w cyckach, zdaje się, jeszcze całkiem sporo mleka. Ravelowi smakuje, więc...

– Spogląda na swój całkiem okazałych rozmiarów biust.

– Więc rodziłaś niedawno – stwierdzam z lekkim uśmiechem na ustach.
– Chłopiec czy dziewczynka? – dopytuję.

– Bliźniaki, dwa męskie bachory – pada pozbawiona entuzjazmu odpowiedź. – Przy czym jeden, większy, sporo większy... ma domieszkę krwi naszego zacnego czarownika Gabu, który jest jego dziadkiem. Zaś mniejszy, choć żadne tam chucherko, cóż powiedzieć, skubaniec jest rudy...

– Rudy...? – Marszczę brwi we wspomnianym kolorze i przeczesuję swe włosy o tej samej barwie.

– Ta, rudy... – potwierdza jednooka kobieta, po czym ciężko wzdycha i rezolutnie dodaje: – Bo widzisz... Mam niedawno narodzonego syna, który jest, jakby to powiedzieć, zarazem synem twojego syna. A dokładnie, zmajstrowaliśmy nasze rude maleństwo wspólnie z Avezanem. Pomyślałam, że powinnaś to chyba w końcu wiedzieć, zatem mówię. – Na te wieści na moment brak mi słów i robię tylko wielkie, okrągłe oczy. Z kolei Viria kontynuuje: – I nie myśl sobie za wiele. Nasze dziecko nie jest bynajmniej owocem jakiejś wzniosłej miłości, a raczej dzikiego, wręcz zwierzęcego przyciągania. – Jednooka kobieta puszcza mi swe jedyne oko i ciągnie dalej: – Avezan ma na kontynencie Pendorum własną miłość, chociaż trochę niespełnioną. Niejaką Nail...

– Nail...? Nail...?! – mówię i powtarzam z absolutnym niedowierzaniem.

– Tak – przyznaje Viria. – Ale wiesz, może to tylko zbieżność imion z tą waszą Boginią, prawda? Choć tamta dziewczyna, czy raczej już kobieta ma kolor skóry taki, jak twój i w sobie coś naprawdę nietuzinkowego. Lecz jej oczy... Nie, nie widziałam, aby lśniły, ani razu... – Moja rozmówczyni kręci przecząco głową. Na co z żywym zaangażowaniem odpowiadam:

– Zgodnie z legendą Nail ma powrócić na świat na swój ostatni żywot jako całkiem pozbawiona boskości zwykła śmiertelniczka.

– Aha... No to może i powróciła... W każdym razie ona oraz Avezan robią, co mogą, aby zwieńczyć na Pendorum twe dzieło, słowem jednoczą kontynent. I... naprawdę nie masz już dość zabawy tutaj, nie zamierzasz im pomóc...? – kończy z pewną pretensją Viria. Sama szacuję w umyśle wieści, jakie mi przekazuje i spoglądając na me dziecko, Nelorum, w zadumie odpowiadam:

– Dziękuję wam, że tu przybywacie; ty, Ravel, Gabu oraz Adora. Wasza pomoc okazuje się bezcenna. Ale zanim nie uratuję tego kontynentu, nie opuszczę go, aby walczyć gdzie indziej, wybacz...

– Aha... Niech i tak będzie. Chciałam się tylko upewnić przed pożegnaniem... – Viria wzrusza obojętnie ramionami i niby od niechcienia dorzuca: – Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to zostawiam ci na wschodnim wybrzeżu połowę mojej pirackiej flotyli. Będzie tu stacjonować jeszcze przez trzy miesiące. Musisz bowiem wiedzieć, moja ty Bogini, królowo, że odkąd mamy w swoich szeregach czarownika Gabu nasz świat się stale powiększa między innymi właśnie o kontynent Nelorum.

– W jaki to sposób? – pytam zaciekawiona.

– Ano w taki... że nasz czarownik odkopał gdzieś w zdobytych woluminach stare mapy świata i unikatowe sposoby nawigacji. Mamy więc teraz takie sprytne przyrządy jak kompasy, busole i oto wodne drogi na całym świecie stają przed nami otworem. A ja, cóż powiedzieć... zamierzam je niebawem zbadać. Słowem przyzywa mnie wielki świat, ha! – kończy gromko jednooka kobieta i wstaje. Kieruje się do wyjścia z namiotu, ale w jego progu przystaje. Drapie się dłuższy czas po głowie, zupełnie jakby znowu nachodziły ją jakieś skrywane myśli, aż nie odwracając się, rzuca przez ramię: – Miałam to zachować dla siebie, ale

właśnie... zmieniałam zdanie, ponieważ możemy się już więcej nie zobaczyć...

– Co chcesz mi powiedzieć...? – zaciekawiam się gotowa na kolejne rewelacje.

– Otóż... – jęczy markotnie jednooka kobieta. – Przed wyruszeniem w naszą małą kampanię wojenną na tym kontynencie odwiedziłam komnatę, gdzie śpi wiecznym snem twój obecny małżonek.

– Muran.

– Tak, Muran... Ma on cały czas otwarte oczy. Oczy zaś, jak wiadomo, są zwierciadłem duszy. I chociaż duszy już w tych oczach nie uświadczysz, to pokazują one, do kogo zamieszkujący je duch należał...

– Wiem, że Muran posiadał poprzednie życie. Wszak odrodził się z klątwą, jako niemowa – zauważam.

– Właśnie – potwierdza Viria. – Ale kto taki się odrodził?

– Kto...? – pytam słabym głosem. Na co moja rozmówczyni odwraca się do mnie przodem i rzuca w powietrze:

– Muran to tak naprawdę Aves, moja kochana królowo.

– Aves...?!

– Tak, nie mylę się. Zaś odradza się on niemową, co ma być karą za ciężkie kłamstwo.

– Jakie... kłamstwo...? – Naraz wiruje mi w głowie.

– Kłamstwo wobec ciebie samej, Anrei, z poprzedniego żywota. Otóż wiedz, że w poprzednim życiu Aves się w tobie zakochał i pragnął twej osoby. Ażeby cię mieć, z premedytacją zabił naszego wspólnego przyjaciela, albinosa Larisa. Okłamał cię, mówiąc, że Laris walczył na arenie w pojedynku między nimi, by zabić. To wszystko, co chciałam przekazać. – Po tej pozostawiającej mnie w kompletnej rozsypce deklaracji Viria wychodzi z namiotu i na kontynencie Nelorum więcej jej już nie widzę podobnie, jak jej kompanów.

*

Wielobarwna gołąbica i równie kolorowy zimorodek. To obserwowane przeze mnie ptaki na niebie. Tak różne wyglądem, swym zachowaniem. Ale

to ciągle ptaki i w zgodzie dzielą one nieboskłon. Wydają się wspólnie uzupełniać niebiańską przestrzeń, a nie rzucają się sobie do gardeł, by niepodzielnie zatriumfować. Dlaczego my, ludzie, nie możemy wziąć z nich przykładu? Nie wiem tego. Nie wiem zarówno, jako człowiek, jak i Bogini, istota często ze wszech miar zagubiona.

Aves – Muran. Zatem to jedna osoba, która podle zabija i kłamie, by zaznać szczęścia i kochać. Cóż za paradoks, z którym tak trudno się pogodzić. Wszak jest on jak najbardziej adekwatny dla tego pomieszanego świata. W końcu sama zabijam, walcząc o życie, czy zsyłam na świat cierpienie w pogoni za szczęściem dla siebie i innych.

Dlatego wybaczam, tak, wybaczam memu ukochanemu. Choć wiedza o tym, co uczynił, pozostanie w my sercu na zawsze bolesną zadrą. Będę więc pamiętać, ale przebaczę, aby dać szansę rozkwitnąć szczęściu, a nie zawiści czy też zgryzocie, złowrogim siostrom, które zwykły kroczyć ze sobą razem.

– Pani, już czas... – przemawia do mnie ze śmiertelną powagą generał Sakkan.

Co by było, gdyby i on się ode mnie odwrócił? Opuścił mnie czy zdradził? I kto ostatecznie zasługuje na wybaczenie, a kto wieczne przekleństwo? Komu o tym wyrokować? I w czym bardziej zasłużony jest Aves od Lakszi, iż może liczyć na moją litość? Odpowiedź nie jest przyjemna. O mojej łasce bowiem lub jej braku decyduje ostatecznie me własne szczęście, to ono jest wyznacznikiem. Dlatego kochając ponad wszystko Murana, jestem gotowa mu niemal wszystko wybaczyć. Natomiast wobec błędów Lakszi już skąpię w mym sercu dla tej kobiety ciepłego uczucia.

– Generale... – oznajmiam w zamyśleniu.

– Tak, Wasza Wysokość...?

– Lakszi, moja służka... Ta kobieta, którą przegnałam, a która tyle czasu powracała... Czy w ostatnim czasie widział ją ktos w mej okolicy?

– Nie, pani... Odeszła ona spod murów twierdzy Manakisz i od tamtego czasu słuch po tej osobie zaginął.

– Rozumiem... Zatem wyślij gońców w cztery strony świata i nich ją odnajdą.

– Co mają przekazać wspomnianej kobiecie, pani?

– Że jej wybaczam, tak wybaczam... i zaprasza z powrotem do siebie na służbę, jeśli sama wyrazi zgodę...

– Oczywiście, zgodnie z rozkazem... – potwierdza generał i podprowadza do mnie za uzdę białego rumaka. Czas już, żebym go dosiadła, ponieważ w zakolu rzeki, które fortyfikuję do walki, właśnie dziś spodziewamy się ataku wroga. Ten nas osaczył z trzech stron i ponoć wytoczył już przed swe szeregi ciężkie działa do zmasowanego ostrzału.

Wkrótce z ciężkim sercem, pod presją nadchodzącej bitwy, jestem już konno pomiędzy wałami z piachu i kamieni, gdzie kryją się moi żołnierze. Osobiście aż do rozpoczęcia walki pragnę być jak najbardziej widoczna i swoją osobą dodawać moim wojownikom otuchy. Dlatego się nie zatrzymuję i przemierzam konno kolejne ufortyfikowane rewiry. Jednakże czas mija, a ostrzał z dział się ciągle nie rozpoczyna.

W związku z tym wjeżdżam wierzchowcem na hałdę piachu i lustruję przeciwległy brzeg rzeki za pomocą lunety podarowanej mi przez czarownika Gabu. I naraz nie mogę uwierzyć własnym oczom, kiedy dostrzegam wymierzone w nas działa, ale bez żadnej obsługi. Wiodę wzrokiem dalej na linię wrogiego obozowiska i odnoszę wrażenie, zupełnie jakby zostało ono porzucone.

Kompletnie nic z tego nie rozumiem i niestety spodziewam się wymyślnej pułapki w wykonaniu Otta. Rozglądając się niepewnie na boki, rozważam posępnie taką ewentualność, że ten mężczyzna z dominium pewnie znów mnie przechytrzy za sprawą jakiegoś wyrafinowanego planu. I tylko czeka na mój pierwszy ruch, który okaże się dla mych żołnierzy katastrofalny w skutkach.

Strach i obawa paraliżują mnie do tego stopnia, że jeszcze naprawdę długi czas nie wydają żadnych rozkazów. Aż kiedy w końcu słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, wysyłam zwiad na przeciwległy brzeg rzeki.

Niebawem żołnierze powracają cali i zdrowi, po czym szepczą mi do uszu iście spektakularne wieści. W odpowiedzi na nie przez chwilę biję się

z myślami, ale ostatecznie decyduję wykazać odwagą i w otoczeniu grupy żołnierzy wyruszam do wrogiego obozu.

Na miejscu jawi mi się widok dokładnie opisany przez zwiadowców. Porzucony w pośpiechu obóz pełen jest martwych i konających żołnierzy w szarych mundurach. Ale bynajmniej nie umierają oni z powodu odniesionych ran. Mają odrażająca, czarne czyraki na szyjach i twarzach, a z pękających bąbli leje się ropa i ciemna krew.

Aż przechadzając się z mymi zatrwożonymi żołnierzami po tym upiornym miejscu pełnym straszliwej śmierci, staję przed znajomymi mi już kobietą oraz mężczyzną, niedoszłymi porywaczami Nelorum. Siedzą oni oparci o siebie ze zdartymi ze swych ciał ubraniami. Ich skóra pokryta jest w wielkiej ilości czarnymi bąblami, które w jednych miejscach zachodzą wręcz jedno na drugie. Para ta wodzi otępiałym od gorączki wzrokiem po otoczeniu, po czym zatrzymuje wzrok wprost na mnie. Wtedy jedno przez drugie, zupełnie jakby wypowiedali treść proroctwa, zamierającym głosem mówią:

- Dotknęliśmy dziecka...
- Przeklętego dziecka Nelorum...
- Na własnych dłoniach zanieśliśmy do obozu śmierć...
- Czarną śmierć...
- W poprzednim żywocie zwana byłaś Matką Cień...
- Lecz w tym będą cię przezywać Czarną Wdową...
- Bo na naszych drogach synów zsyłasz ostateczny czas...
- A ich kobiety pozostawiasz bez mężów...
- Zrodziłaś bowiem dziecko ze związku z martwym mężczyzną...
- Cóż bowiem znaczy żywe ciało bez duszy...
- To śmierć...
- Śmierć...
- To piekło...
- Piekło...
- I to właśnie sprowadzasz na świat...

*

Przepowiednia o okrutnej śmierci zesłanej przez Nelorum obcym najeźdźcom się ziszcza. Jednakże czy tak właśnie wyobrażaliśmy sobie nasze zwycięstwo? Nie, na pewno nie w ten sposób. Nie, oglądając z czasem wszędzie na tej ziemi konających w męczarniach białych mężczyzn, a także ich kobiety i dzieci. Okazuje się bowiem, że na śmiertelną zarazę odporni są wszyscy ludzie o ciemnym kolorze skóry, również większość mieszańców. Ale klątwa czarnej śmierci Nelorum dotyka z równą siłą rdzenne osoby rodem z dominium, co i dawnych, białych przybyszy ze wszystkich krain. Wszyscy oni cierpią i umierają.

Tymczasem dumni przedstawiciele dominium Akros porzucają swe miasta, plantacje z niewolnikami oraz piękne rezydencje i w największym pośpiechu stąd odpływają. Jednak czy sami, czy wraz z klątwą Nelorum na swych okrętach? Tego obecnie nie dane mi jest wiedzieć.

Z kolei przez tych, którzy pozostają na kontynencie, jestem przeklinana, jak i wychwalana pod niebiosami. Pobratymcy nazywają mnie szumnie Boginią Matką Boga, natomiast dawni, biali przybysze przezywają zawistnie Czarną Wdową. Ci ostatni jednak z powodu kolejnych wybuchów ognisk zarazy coraz bardziej słabną, a kontynent powoli, ale systematycznie niemal w całości opanowują ludzie o ciemnym kolorze skóry. Przy czym nie czynią tego siłą, już nie muszą. Nagle na tej ziemi znajdują się bowiem nieprzebrane połacie nieobsianych pól, lasy, w których nie ma kto polować i wreszcie domostwa, gdzie nikt już nie mieszka, bo okrutna zaraza potrafi zabierać całe rodziny.

W konsekwencji z powodu takiego obrazu ostatecznego rozstrzygnięcia walki wcale nie czuję się zwycięska. Chociaż przyznaję, że poza goryczą odczuwam ulgę. Cena jest bowiem olbrzymia, ale pragnę wierzyć, iż warta tego, że dominium Akros zostaje pokonane. Żywię także nadzieję, że zaraza niebawem odejdzie w niepamięć, a dawni, biali przybysze, którzy przetrwają, na powrót zasiedlą swe krainy. Natomiast przedstawiciele dominium Akros już nigdy na kontynencie Nelorum nie odważą się postawić swej nogi.

Obecnie zaś namiestnikiem Królestwa Czarnego Piasku, czyli mym zastępcą, czynię mego zaufanego generała Sakkana. Osobiście korzystam z

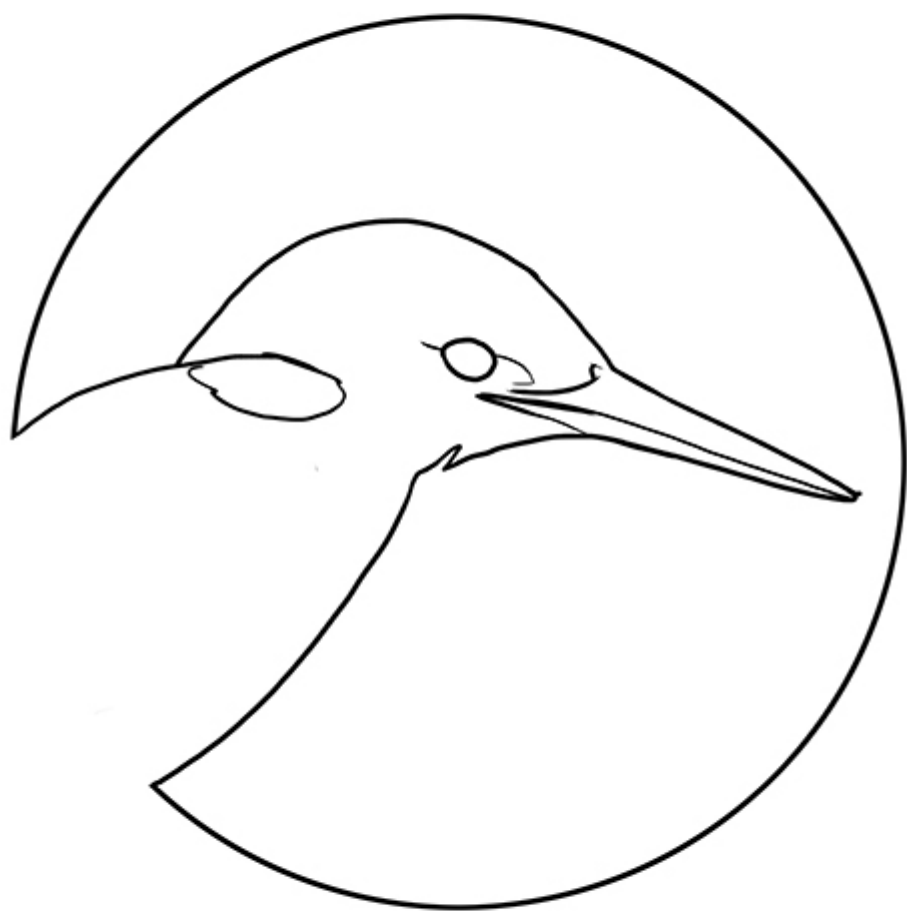
oferty Viri i zgodnie z obietnicą wraz z moją armią w tym słoniami bojowymi oraz zdobycznymi armatami wyruszam na odległy kontynent Pendorum.

Albowiem jak słyszałam i co zresztą sama wiem za sprawą mych snów, jest to kolejna ziemia, która woła o wolność i pokój. Zaś ten wolnościowy krzyk przyzywa mnie. Tak więc zrobię, co w mej mocy, aby zanieść tam świetlane ideały. Choć jak na mnie, Anreę, przystaje, walczyć, niewątpliwie po drodze i tam przeleję krew. Takie już me istnienie zapewne po sam jego kres. Z kolei jak dalej pokieruję swym życiem, kiedy już będę spokojna także o los Pendorum?

Zastanawiając się, spoglądam z dziobu okrętu pod piracką banderą na błękitny widnokrąg bezkresnego oceanu zalewanego widokiem zachodzącego na niebie słońca. I lekko uśmiecham się. Ponieważ już wiem, że dalej podążę za najsilniejszym w mym sercu uczuciem, a mianowicie miłością.

Myśląc o sobie samej ponownie w objęciach Murana, jestem niczym natchniona i aby ziścić me marzenie, pokonam wszystko i wszystkiego się wyrzeknę. Nawet swego życie, czy bycia Boginią, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Tak właśnie stwierdzam, podziwiając zachodzące słońce, które wszak ze wschodem powróci jaśniejące na świat, jako i ja z mym ukochanym powrócimy do siebie...

Na skrzydłach nieba tańczą płomienie
Na nieba skrzydłach krwawe uniesienie
Jesteśmy jak ptaki tańczące na niebie
Jak Słońce i Księżyc stworzeni dla siebie



EPILOG

Jest już po wielkiej bitwie, zwycięskiej bitwie. Opadają pustynny kurz i pył, czyniąc to na zakrwawione ciała tysięcy poległych i o wiele mniej licznych ocalałych z pogromu. Ja, Anrea, władczyni już nie tyle wyspy, ale całego Królestwa Czarnego Piasku, krocę pomiędzy szeregami żołnierzy zarówno z mego obecnego kontynentu – Nelorum, jak i z Pendorum, gdzie akurat stawiam swe stopy w zdobnych sandałach.

Mam na sobie wielobarwną, luźną szatę rodem z mojej krainy odsłaniającą jedynie me łono. Ma skóra jest ciemna w kolorze miedzi, a sylwetka niezwykle wysoka i szczupła. Dekolt zdobią naszyjniki ze złota i drogich kamieni. Uszy, nos oraz miejsce pośrodku czoła również wieńczą na mym ciele bogate ozdoby. Me rude włosy są niezwykle długie i rozpuszczone falują na lekkim, gorącym wietrze.

I tak stawiając drobne kroki, dochodzę do szóstki mych dawnych kompanów z mego uprzedniego żywota. W ich oczach dostrzegam łzy, ale wiem, że są to objawy wzruszenia na mój widok, nie smutku. Także i ja odczuwam w mym sercu coś niezwykłego, specyficzną więź z tym miejscem i przede wszystkim klękającymi teraz koło mnie ludźmi.

Najpierw podchodzę do kobiety, której flotylla pirackich okrętów przywozi tutaj mnie oraz moją armię. To Viria, nieposkromiona szczerą osobą, której czynię błogosławieństwo, składając swą dłoń na jej głowie.

Następnie podobnym dotykiem obdarowuję czarownika Gabu. Mężczyznę o niezwykłej tuszy, który do mej uciskanej krainy przywozi niezwykłą broń mych dotychczasowych ciemieżycieli. To doprawdy wspaniały i mądry człowiek, którego podziwiam.

Po nim składam me długie palce na głowie Ravela. Jego nietuzinkowe zdolności również okazują się nieocenione na kontynencie Nelorum.

Adora jest kolejną osobą, na której widok się serdecznie uśmiecham. I ona otrzymuje ode mnie należne błogosławieństwo. I to nie tylko za udzieloną pomoc mej ojczyźnie, ale też za wsparcie, które ostatnimi czasy posła do rozlicznych, potrzebujących istot.

Na koniec kładę dłonie jednocześnie na głowach Kalilli oraz Exona. To oni bowiem utrzymali w jedności imperium Pendorum, jeden z głównych owoców mego przeszłego życia. I za to im z całego serca dziękuję.

Chociaż największą przemianą w moim poprzednim istnieniu jest ta, że zwińczęm je zdjętą ze mnie klątwą mego boskiego małżonka, Abezzala. Po raz pierwszy bowiem odstępuję od jego zabicia, choć mam ku temu sposobność, jak i powody. Wbrew wszystkiemu wybaczam mu i w zamian stają się wreszcie wyzwoloną z okowów przekleństwa osobą.

Tym sposobem odradzam się w obecnym żywocie bez skazy, a samo życie przeżywam po raz pierwszy bez grzechu. I swe czyste istnienie pragnę na ten czas odpowiednio spożytkować, czyniąc to najlepiej, jak tylko mogę.

Dlatego teraz to mi szklą się oczy, kiedy podchodzę do kobiety o takim samym kolorze skóry, jak mój i klęczącej koło mego martwego syna, Avezana. Kładę jej rękę na ramieniu i zachęcam, aby powstała. Czyni to, a wówczas mocno ją obejmuję i szepczę jej dźwięcznym głosem do ucha:

– Bądź błogosławiona, szlachetna, upadła Bogini, któraś swego czasu zapłaciła swą boskością za uratowanie kontynentu Nelorum. Wiedz, że całe życie modliłam się żarliwie właśnie do ciebie. I jestem przekonana, iż to dzięki tobie przetrwałam me najtrudniejsze chwile, a było ich wiele. Dlatego jesteś mi bliska niczym ciepło promieni słońca na mej skórze. I w podzięce składam ci w darze to, co bezsprzecznie należy się tobie bardziej niż komukolwiek innemu. – Po tych mych słowach moje rozświetlone boską poświatą oczy przestają już na zawsze lśnić. Zaś następuje intensywny rozbłysk oczu Nail. W ten sposób sama ostatecznie przestaję być Boginią i przekazuję mą odwieczną boskość Nail. To ona będzie od teraz patronką Pendorum.

Potem klękam koło mego martwego syna, Avezana, spoglądając na jego głębokie rany na ciele. Wiem, czego dokonał i z tego powodu rozpiera mnie wielka duma, bowiem pokonał on me wyrodne dzieci, gniewnych Bogów,

którzy nie przyprowadzą już kolejnych armii z Otchłani, aby zniewolić serce Pendorum. To oni niegdyś, po mojej śmierci, zatrzasnęli przede mną wrota niebios. Jednakże za ich ewidentne grzechy to na nich obecnie ześle moc klątwy mój były już małżonek, boski Abezzal. Zatem za swe podłe czyny będą przeklęci tak, tak ja byłam i tak długo, aż dostatecznie nie zrozumieją swych błędów i ich nie naprawią.

Lecz to nie dla mych dawnych dzieci tu jestem, a dla ich młodszego brata, a mego syna, Avezana. Dlatego wspominając jego z kolei chwalebne czyny, o których zdążyłam już usłyszeć, ocieram z twarzy zły i tulę go do swej matczynej piersi, po czym nad jego martwym ciałem wypowiadam znamienne słowa:

– Oddaje ci moje życie, ponieważ ponad wszystko pragnę, abyś doświadczał istnienia i przede wszystkim kochał. Kochał całym sobą i bez pamięci tą, która najbliższa jest twemu sercu i na którą już zasługujesz, Nail. I życzę sobie byś został wiecznym strażnikiem strzegącym krainy Pendorum. Taką na ten czas przepowiadam ci przyszłość. Dlatego oddaję ci moją esencję życia, czyli wszystkie me przyszłe żywota. Proszę cię, powróć do swego zagojonego już ciała i żyj... – Całuję z wielkim uczuciem syna w czoło pomiędzy brwiami i sama zamykam oczy, czyniąc to już na zawsze, podczas gdy Avezan ponownie może patrzeć na świat.

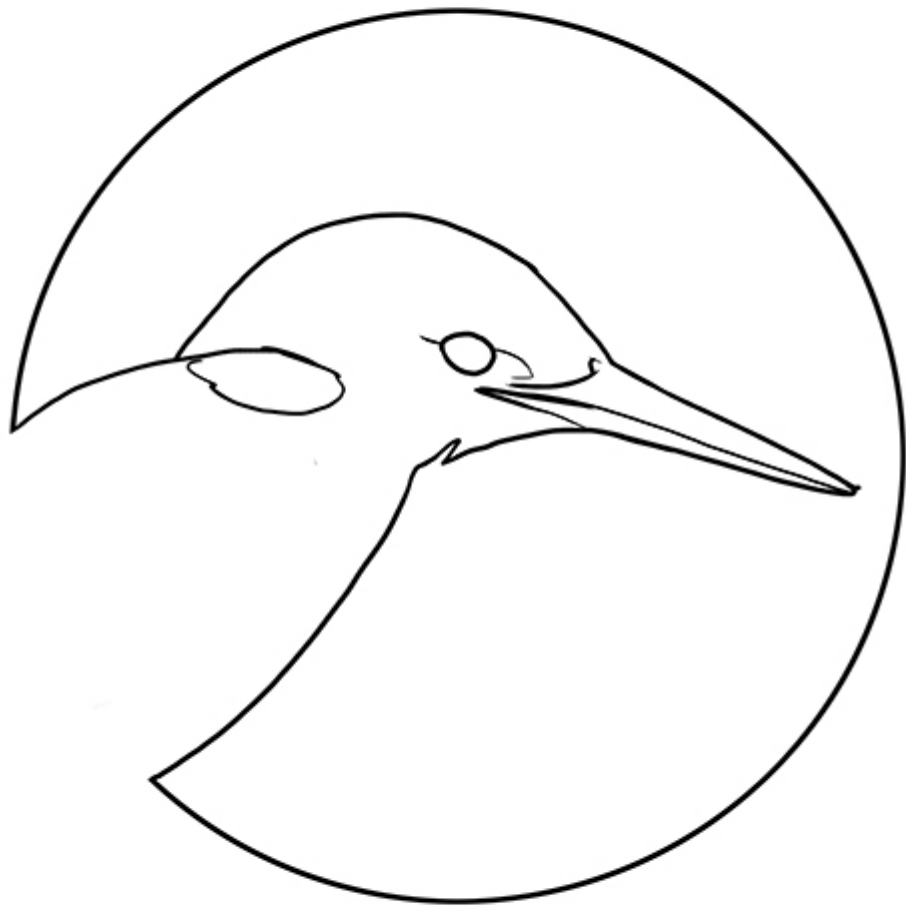
*

Więc się dokonuje. Pendorum jest uratowane, a teraz zostanie zjednoczone pod panowaniem Avezana oraz Nail. Wiem, że tak będzie, po prostu to wiem. Zaś co ze mną, mityczna Anreą? Wszak moja historia się tu jeszcze nie kończy...

Oto pozostawiam sobie mglisty cień boskiej iskry. I poprowadzi mnie ona do przeklętego świata upadłych pomiędzy życiem, a śmiercią, gdzie na zesłaniu przebywa mój ukochany z tego żywota.

Miłość to zaprawdę nieodgadniona, lecz ze wszech miar potężna siła i to za nią pragnę podążyć. I uczynię to, aby w obcym wymiarze odnaleźć mego ukochanego. O nim zamierzam teraz nie tylko śnić, ale z nim po wsze czasy być.

CDN



Spis treści

I. TWIERDZA MANAKISZ

II. KOMPANI

III. PRZEKLNIJ ALBO WYBACZ

IV. FORTECA TUDAR

V. OGIEŃ BITWY

VI. CZARNA WDOWA

EPILOG